

TEN NUMER przeczytasz jednym tchem!

czas. 2552/1976/19

Rys. K. Kozłowski

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENIA

LUBLIN 19 IX 1976 Nr 19 (609)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

OBRONA POCZTY POLSKIEJ W GDAŃSKU

Stanisław Majewski

W 1945 ROKU w jednym z domów gdańskich, który w ostatnich tygodniach przed kapitulacją Niemiec służył jako hotel dla dygnitarzy Rzeszy, wśród papierów pozostawionych w pośpiechu przez uciekających Niemców, znaleziono dwa dokumenty, które — jak się później okazało — stanowią ważne ogniwo w ujawnieniu spisku przeciwko polskim urzędom na obszarze Wolnego Miasta Gdańska oraz wyjaśnieniu losów obrońców Poczty Polskiej przy Placu Heweliusza w Gdańsku.

Dokończenie na str. 8—9

SZANUJMY ZABYTKI



Fot. Zb. Jaśkiewicz

Zarząd Wojewódzki PTT-K w Chełmie nadesłał nam poniższy tekst z prośbą o zamieszczenie go w najbliższym numerze „Kamienia”. Mamy nadzieję, że poruszony problem spotka się z oddźwiękiem władz województwa chełmskiego i, być może, stanie się tematem szerszej dyskusji na temat opieki nad zabytkami.

*XIII-wiecznej wieży
w Stolpie
grozi oszpecenie*

PROTEST ZW PTT-K W CHEŁMIE

POLSKIE Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze spełnia z mocy ustawy zadanie i odpowiedzialny obowiązek społecznej opieki nad zabytkami będący wyrazem troski o pomniki naszej historii i naszego dorobku kulturowego. Komisja Opieki nad Zabytkami Zarządu

Dokończenie na str. 2

O SOBISCIE nie jestem zwolennikiem traktowania osiągnięć produkcyjnych czy technicznych jak sukcesów ... sportowych, i kategorii wyczynu, rekordu nie wydają mi się tu całkiem na miejscu. W tym względzie zgadzam się z Aleksandrem Stycznym, jednym z budowniczych kopalni pilotująco-wydobywczej w Bogdanie, nadsztygarem z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Mysłowicach. Sportowiec latami trenuje i startuje, by wygrać z rywalami lub w optymalnych warunkach pobić rekord, a jeśli przegra lub nie osiągnie spodziewanego rezultatu, może „poprawiać” drogą następnych treningów i startów. Produkcja ma to do siebie, że nie ma w niej miejsca na „trening” i nie można za często mylić się, a jak nie wyjdzie, stale „poprawiać”, chyba iż się przemyśli na przykład tak: cały na-

WĘGIEL TUŻ, TUŻ...

Maciej Podgórski

rod buduje domowe piece hutnicze. W nowoczesnym wszak przemyśle liczy się koncentracja sprzętu, materiałów, robocizny; organizacja procesu produkcji. Nie oznacza to, że brak tutaj możliwości doskonalenia, ryzyka itp. Obowiązują jednakowoż znacznie ostrzejsze niż w sporcie rygory, większa pewność.

Tych parę prawd banalnych warto może przypomnieć, kiedy cieszymy się — i bardzo słusznie — z osiągnięć bez-

spornych, jakie odnotowali dotąd budowniczo-kopalni w Bogdanie, choć by 396-metrowy postęp głębienia szybu w ciągu kwartału, czyli zbliżenie się do pierwotnych pokładów węgla na 220 metrów, o czym zameldowano Edwardowi Gierkowi 23 sierpnia br. podczas jego pobytu w Bogdanie.

Gdyby tak zajrzeć za podszewkę tego święta i tych sukcesów górniczych, to znajdzie się tam przede wszystkim ra-

cjonalne wylczenie, sprawna organizacja, wielka koncentracja środków. Nie natomiast na hurra, żadnych niezmiernych prowizorek, żadnego „jakoś tam będzie”, czas i świat już temu nie sprzyja, liczy się fachowość, dyscyplina ludzi. Sposób, w jaki budowana jest ta kopalnia, świadczy o wysokim poziomie

Dokończenie na str. 4

Na pomoc! Mąż mnie bije!...

MALTRETOWANIE żon przez mężów to czyn karalny, czy sprawa prywatna? Przedmiot żartów, czy poważny problem? Wyjątek, czy zjawisko społeczne? W każdym czasie mężczyźni bili swoje żony i nasza epoka nie stanowi pod tym względem wyjątku... A jednak! „Le Monde” i „Le Point” — dwa pisma francuskie poruszają ten temat.

Jeśli wierzyć — piszą one — licznym świadkom, zgłaszającym się do Ligi Praw Kobiet, a także relacjom pracowników sektora pomocy społecznej, komisariatów policji i instytucji charytatywnych, bicie kobiet przybrało rozmiary trudne do wyobrażenia. Zasadą Ligi jest to, że zwróciła uwagę na zjawisko, zbyt łatwo akceptowane w życiu społecznym.

Wszyscy starają się wytłumaczyć, że problem bitych kobiet to kwestia przeznaczenia, okup za nieudane małżeństwo, zjawisko prawie naturalne, przejściowe i o małym znaczeniu. Wszyscy, począwszy od ofiar, działających pod wpływem strachu i uległości, godzą się, by ta forma przemocy trwała. Trzeba żyć, mieć gdzie mieszkać, mieć na utrzymanie swych dzieci, nawet za cenę powtarzającego się bicia.

Zdarza się, że sytuacja przybiera obrót nie do wytrzymania. Wtedy następuje ucieczka w środku nocy do najbliższego komisariatu policji, gdzie znudzeni i rozespani mężczyźni protokołują — nie traktując sprawy poważnie i nie przejmując nią się wcale — chaotyczne zeznania, brzmiące nieprzekonywająco.

Sekretarz stanu do spraw kobiecych, Francois Giroud, zwróciła się z propozycją do ministra spraw wewnętrznych, Michela Poniatowskiego, aby w każdym komisariacie pracowała kobieta. Kobiety, wrażliwsze z natury, kierowane poczuciem solidarności, z większą życzliwością będą wysłuchiwały skarg bitych kobiet.

Poniatowski nie powiedział nie. Być może nadejdzie czas, gdy ta propozycja zostanie zrealizowana. Jest to jednak dzień odległy, gdyż w całej Francji w 470 komisariatach pracują 254 kobiety — inspektorki. Dzięki tej propozycji propozycja p. Giroud nie ma szans stania się rzeczywistością.

Tymczasem maltretowanie żon przez mężów trwa, a szpitale przyjmują, nie zadając zbyt wiele kłopotliwych pytań, zadziwiająco dużą liczbę kobiet, które „spadły ze schodów” nawet jeśli mieszkają na parterze. Kobiety te nadal nie wiedzą, że prawo wymaga, aby uzyskały świadectwo lekarskie stwierdzające iż zostały pobite przez męża, które może być wykorzystane dla uzasadnienia odejścia od niego.

Nikt nie mówi o tym problemie z całą otwartością. Nawet sekretarz generalny stowarzyszenia schronisk dla samotnych kobiet, która w latach 1962—1972 kierowała ośrodkiem w departamencie Seine-et-Marne wyraża opinię, że dążenie do utworzenia specjalnych schronisk dla bitych kobiet jest dziwne. Jej zdaniem, problem nie jest prosty. Przemoc — to jeden z elementów rozkładu rodziny. Należy poznać oba punkty widzenia. Wiele kobiet otrzymuje razy, kiedy podnosi rękę, aby się ostonić. Przypomina to trochę sytuację, w której pies gryzie człowieka, gdy czuje, że ten boli się jego. Obie strony są rozdrażnione. Jedni mężczyźni w takim momencie trzaskają drzwiami i wychodzą, aby się upić, inni biją żonę. Są też — trzeba to przyznać — kobiety, które lubią bicie...

Walka z przemocą polega na przelamaniu apatii samych ofiar i potępieniu niektórych banałów, jak te, które wypowiedziała niedawno A. Schultz delegatka ministerstwa spraw kobiecych na Alzację. Kiedy Liga Praw Kobiet apelowała do niej w sprawie kobiety wyrzuconej w sierpniu ub. r. przez okno — a dokonał tego mąż owej kobiety — A. Schultz odpowiedziała: „Doświadczenie lekarskie nauczyło mnie, że większość przypadków okrucieństwa moralnego, a nawet fizycznego wobec współmałżonka dotyczy tylko jednostek najsłabszych. Prawo dzungle jest udziałem nas wszystkich...”

Obarczanie winą ofiar jest jednym ze sposobów przymykania oczu na brutalną rzeczywistość.

Kiedy przed rokiem Liga Praw Kobiet założyła „SOS bitych kobiet” okazało się, że przypadki przemocy w małżeństwie są częstsze niż przypuszczano.

W wielu przypadkach przyczyną „nieporozumień” między małżonkami, kończącymi się pobiciem żony, jest alkoholizm męża. Ale — stwierdza autorka książki p.t. „Nie krzyż tak, sąsiedzi ci usłyszą” — Erin Pizzey — jest to wytłumaczenie częściowe i zbyt łatwe. Nie należy mistyfikować problemu alkoholizmu. Nie wszyscy mężowie — brutalni są alkoholikami, często są to agresywni psychopaci.

Między ofiarą i jej katem istnieje pewien rodzaj współzależności. Psychiatra wyjaśnia to następująco: niektóre jednostki są niezdolne do wyznaczenia sobie granic, niezdolne do powstrzymania się od bicia, bądź do opuszczenia domu, kiedy są bite. Jest to zjawisko znane z kryminologii: zabójca zawsze intuicyjnie wybiera ofiarę, gdyż wie, że nie będzie ona stawiała oporu. Przemoc jest źródłem podporządkowania, które z kolei rodzi przemoc. Prawdziwe błędne koło.

Nie znaczy to, oczywiście, że kobiety chcą być bite: na stawienie oporu lub odejście trzeba mieć siłę, pieniądze i śmiałość. Tym kobietom, które decydują się w końcu na spakowanie walizek, pomaga myśl, że trzeba skończyć z codziennym spektaklem przemocy, nienawiści i nieszczęścia, na jakie patrzą oczy ich dzieci...

Kobiety opuszczające z dziećmi ognisko domowe mają duże trudności ze znalezieniem schronienia. We Francji jest tylko dziesięć schronisk dla kobiet — wszystkie są przepelnione.

To, co do tej pory zdziałano — to półśrodki. Liga Praw Kobiet walczy o uchwalenie ustawy chroniącej ofiary przemocy ze strony mężczyzn. Projekt ustawy przewiduje m. in. wprowadzenie obowiązku leczenia dopuszczających się przemocy, tak, jak w przypadku narkomanów i alkoholików...

Stanisław Grochowiak

DNIA 2 września 1976 r. zmarł w Warszawie Stanisław Grochowiak, jeden z najwybitniejszych twórców polskiej literatury powojennej. Odnosił się nie tylko różnokierunkowością zainteresowań wśród form pisarskiej wypowiedzi ale przede wszystkim intensywnością wyraża artystycznego. Poezja, powieść, dramat sceniczny, filmowy i telewizyjny — oto dziedzińca twórczości, w których Grochowiak pozostawił trwałe dokonania. W każdej z nich odznacza się wyrazistością i słowem ostre, dynamiczne, wynikłe ze spłec i konfliktów współczesności.

Urodził się dnia 24 stycznia 1934 roku w Lesznie Wielkopolskim, w problematykę pisarską wkroczył w tym czasie, kiedy poezja polska znajdowała się w stanie poszukiwań nowych środków wyrazu. Grochowiak ze względu na rozmiar talentu, jak i zdecydowany kierunek orientacji stanął w czołówce nowatorów walczących o odnowę polskiej poezji. Jego książki poetyckie jak „Ballada rycerska”, „Menuet z pogrzebaczem”, „Lamentnice”, aż do ostatniego wydanego „Bilardu” to pozycje z pierwszej linii walki o odświeżenie polskiej literatury. Wywoływały kontrowersje, ale budziły zawsze żywe zainteresowanie u czytelników.

Nie mniejszą rolę odegrały jego powieści, jak „Plebani z magnoliami”, czy „Trismus”, ale najszerszej publiczności Grochowiak znany jest jako autor utworów scenicznych. „Szachy”, „Chłopcy”, „Okapi” to niemal klasyczne pozycje polskiego repertuaru współczesnego. Stanisław Grochowiak był odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, laureatem nagrody III stopnia Ministra Kultury i Sztuki oraz nagrody „Kulturę” w roku 1970 za tom wierszy „Nie będzie lata”.

Ostatnio widywaliśmy poetę dość często w programie telewizyjnym, ujmującym zabrzmiły słowo podziwu i tego awangardzisty dla dzieł poetyckich zawierających piękno odczytania i wyjątkowość utworów, wielu wierszy, sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych. Stało się inaczej. Jednakże to, co zostało, zamuje trwałą pozycję w polskiej poezji we współczesnej twórczości dramatopisarskiej.

(zm)

Ludwik Szalecki

ZPEWNYM opóźnieniem nadeszła do nas z Krakowa wieść o tragicznej śmierci Ludwika Szaleckiego, grafika-satyryka, którego rysunki zamieszczałyśmy na łamach „Kamieni” od dobrych paru lat. Szalecki miał wiele dowcipnych pomysłów, cieszyliśmy się, że rozwija się jego talent, że w wielu dziennikach i czasopismach można spotkać jego prace. Chcieliśmy Go zaprosić do Lublina i tu wskazać pewne tematy. Niestety, śmierć dosięgła go 27 czerwca br. Przecież zaledwie 22 lata...

(1)

Dokończenie ze str. 1

Wojewódzkiego PTT-K w Chełmie jest głęboko zaniepokojona projektami zmierzającymi do wzniesienia w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowej wieży w Stołpiu rozległego zajazdu turystycznego. Była o tym wzmianka w artykule Tadeusza Jasińskiego w nr. 17 „Kamień”. Zabytek ma być wkomponowany w nową zabudowę, która swym ogromem całkowicie przytłoczy go i, co gorsza, skazi charakter obiektu i zakłóci jego otoczenie.

Kamienna XIII-wieczna wieża w Stołpiu jest pozostałością strażniczego zameczku, który wchodził w system obrony grodu chełmskiego. Obiekt stanowi unikalny zabytek budownictwa obronnego i w województwie chełmskim jest najstarszym zabytkiem. Wieża, usytuowana na niedużym, sztucznie usypanym wzniesieniu nad rzeką Garką, strzegła dawniej przeprawy na szlaku prowadzącym ku Wołyniowi. Jak przystało na obiekt budownictwa obronnego, wieża góruje nad okolicą i posiada dookoła otwartą przestrzeń. Dzięki temu funkcja pierwotna zabytku jest do dzisiaj w pełni czytelna, a on sam jest wyeksponowany tworząc w krajobrazie wyraźny akcent wysokościowy.

Nie dalej niż przed rokiem Oddział PTT-K w Chełmie proponował uporządkowanie najbliższego otoczenia przez usunięcie znajdującej się w pobliżu parterowej bezstylowej zabudowy, zasianie trawy, wysadzenie niskich krzewów. Nadto wysuwany był postulat wykorzystania zabytku do celów turystycznych jako wieży widokowej, po uprzednim przeprowadzeniu prac rekonstrukcyjnych, polegających na odtworzeniu stylowego zadania z blankami, ganku drewnianego obiegającego górą wieżę dookoła, stolarki, stropów i schodów. Wówczas też wysuwany był projekt adaptacji autentycznej w tej samej miejscowości położonej karczmy z obróceniem jej na turystyczny zajazd — po przeprowadzeniu odpowiednich robót restauracyjnych. Obiekt położony jest w niedużej odległości od wieży strażniczej na skrzyżowaniu dróg, tuż przy szosie lubelskiej. Niewątpliwie znakomicie nadaje się on do tego celu z uwagi na swoją lokalizację, a poza tym nie bez znaczenia jest fakt, że jest to przecież autentyczna, zabytkowa XIX-wieczna karczma. Wzrost ten stanowiłby niewątpliwie nie lada gratkę dla turystów. Niestety uznano, że lepiej budować obiekt całkiem nowy, no bo remont kosztowałby zbyt

PROTEST ZW PTT-K W CHEŁMIE

wiele, a przy tym z zabytkami zawsze są kłopoty... Ludzie kłopotów nie lubią, wolą łatwiznę. Gdy przy tym jeszcze w grę wchodzi ambicje autorskie, gdy architekt chce popisać się własną inwencją twórczą, no to wówczas nie ma rady, zabytek musi ginąć, zostaje skazany na powolną śmierć naturalną, a obok buduje się nowy obiekt o tym samym przeznaczeniu. Czy to nie absurd!

Jeszcze gorzej, gdy ambicja projektanta nowego obiektu zmierza do podparcia swojej inwencji autorskiej dodatkowym akcentem w postaci wykorzystania do swego projektu istniejącego obiektu zabytkowego tak wysokiej rangi, jaką ma wieża w Stołpiu. Jeżeli już rzeczywiście nie można adaptować istniejącej karczmy na zajazd, jeżeli koniecznie trzeba budować nowy obiekt, to niechże on nie zakłóca najbliższego otoczenia wieży, niechaj stanie gdzieś na uboczu w pewnym od niej oddaleniu! Niechaj strzelnice wieży nie celują w podcienia restauracji, czy w dachy garaży otaczających (w projekcie) zabytek, niechaj mają wolne pole „obstrzału”, tak jak było przez ubiegłe siedem wieków. Czy musi zabytek uzupełniać nowe projekty, czy musi je wzbogacać kosztem strat w naszej kulturze?

Jeszcze gdyby rzeczywiście zachodziła taka sytuacja, jak np. w gestej zabudowie miejskiej, gdy życie dyktuje konieczność współistnienia obok siebie budowli zabytkowych i nowoczesnych, no to byłoby to zrozumiałe i wybaczone. Ale tutaj, na wsi, gdy tyle jest możliwości lokacyjnych absolutnie nie ma potrzeby oszczędzać zabytku, obduwając go pseudostylowymi, nowymi budowlami. Kamień, drewno i dach typu szalasowego, wszystko to nie jest złe i niechaj sobie będzie budowane przy szosie w Stołpiu czy gdzie indziej, ale nigdy przy wieży! Potomni by nam tego nie wybaczyli,

a współcześni okrzyknęliby w całym kraju, że w województwie chełmskim brak jest pietyzmu do zabytków przeszłości.

I jeszcze wrócić wypada do karczmy... Otóż istnieje taki przepis prawny, który zobowiązuje inwestora wznoszącego nowy obiekt w danej miejscowości, by do tego celu wykorzystywał istniejący obiekt zabytkowy, po jego restauracji i adaptacji. (Uchwała Nr. 418 Rady Ministrów z dnia 8.XII.1960 r. Mon. Pol. Nr. 1 z 1961 r. poz. 6 § 1 ust. 2). Warto więc i należy raz jeszcze rozważyć tę sprawę i dolożyć starań, by wykorzystując zabytek, wyremontować go i dostosować do aktualnych potrzeb.

Na zakończenie osobny problem projektowanego wejścia do podziemi chełmskich. Obecnie istniejąca prowizorka jest rzeczywiście nie tylko szpecąca, ale wręcz szkaradna. Pilną więc potrzebą jest budowa nowego stałego obiektu, w którym mieścić się będzie wejście oraz pomieszczenia wspomagające.

Obiekt powinien być tak zaprojektowany, by uwzględnił charakter całej chełmskiej starówki, by harmonizował z położonymi w sąsiedztwie budynkami. Dlatego też należałoby wbudować w istniejącą w tym miejscu wyrwę w pierzei rynkowej plombę, która wyrównywałaby linię zabudowy ulicy z uwzględnieniem wysokości pierzei. Musiałby więc to być budynek jednopiętrowy o charakterze XIX-wiecznej kamieniczki, jakich wiele w rynku.

Tymczasem projektuje się tu coś w rodzaju nowoczesnego motelu, znowu kamień, drewno i dach szalasowy... Obiekt niewątpliwie ciekawy, ale przy innej lokalizacji, gdzieś na szlaku turystycznym, a nie w centrum starego miasta, cofnięty w głąb posesji pozostawia dalej wyrwę w pierzei rynku i dalej by się odnosiło wrażenie, że czegoś tu brak, że tu coś jeszcze ma stanąć.

Należy ubolewać, że twórczy wysiłek i zapał studentów i młodych naukowców został zmarnowany, że nie uzgodniono zamierzeń inwestycyjnych z Konserwatorem Wojewódzkim, że znowu zapomniano o obowiązujących w tym względzie przepisach, zapomniano o szacunku do pamiętek przeszłości, do wiekowego dorobku kulturowego... Jeszcze dopóki nie jest za późno warto i trzeba zrewidować zamierzenia, przyznać się do popełnionych błędów i wczas je naprawić.

Piękną akcją „Chelm 80” trzeba w sposób celowy i umiejętny wykorzystać, by trud i entuzjazm młodych nie szedł na marne, by nie zaprzestano twórczej pracy młodych ludzi, by nie stwarzać im rozczarowań.

— Znałe są Pańskie zainteresowania historią krajów anglosaskich. Poza licznymi artykułami opublikował Pan takie książki jak: „Historia Anglii”, „Historia Kanady”, „Anglia a Bałtyk w drugiej połowie XVI w.” Można zatem domyślać się, że obecność Pana jako wykładowcy w Kenyatta University College w Nairobi pozostaje w jakimś związku ze wspomnianym obszarem dotychczasowych badań naukowych. Jak wiadomo, Brytyjczycy dość długo trzymali się w Kenii, dopiero 13 lat temu kraj ten uzyskał niepodległość...

— Istotnie, zbieram w Afryce materiały do obszernej pracy pod tytułem „Od Imperium do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”. Rozdział afrykański tej kwestii jest wielce złożony, aby rzetelnie go opracować, należy być tutaj, na miejscu. Istniejąca bibliografia nosi piętno londyńskiej perspektywy, konstruuje typowo brytyjski obraz tego rejonu świata.

— Zatem nie fotoplasticon, lecz...
— żywa tutaj obecność prowadzi do prawdy o Afryce, do zrozumienia jej powikłanych losów i ludzkich zachowań.

— Jakże jednak, konkretnie, okoliczności doprowadziły Pana do kenijskiego uniwersytetu?

— Znalazłem się tam na zasadzie kontraktu bezpośredniego. Otóż Kenyatta University College, zwyczajem uczelni angielskich i amerykańskich, ogłasza konkursy na wakujące stanowiska wykładowców. Na interesujący mnie konkurs wpłynęły 32 oferty naukowców z Europy, Ameryki i Afryki, w których przedstawiali oni swój dorobek, staż uniwersytecki itp. Wybrano moją. W Nairobi wykładam historię Europy nowożytnej ze szczególnym uwzględnieniem jej wschodniego rejonu.

— Jak wygląda uniwersytet?

— Składa się z nowoczesnych obiektów, wzniesionych jeszcze w okresie kolonialnym przez Anglików. Początkowo było to collegium techniczne, które z czasem rozrosło się w wielowydziałowy uniwersytet, korzystając z subwencji Wielkiej Brytanii i Kanady, Indii i Szwecji. Nie zabrakło tutaj krajów socjalistycznych, m.in. Związku Radzieckiego, który rocznie udziela studentom kenijskim aż 50 stypendiów, oraz Polski. Kształcimy Afrykanów w zakresie nauk ścisłych i technicznych, także lekarskich. Zetknąłem się zresztą z absolwentami naszych uczelni: dobrze wspominają Polskę, niektórzy wrócili do Kenii z polskimi żonami...

— Po raz pierwszy pojawia się Pan na uniwersytecie w Nairobi. Jak Pana przyjmują?

— Powiem krótko: serdecznie. Szczególnie młodsza generacja darzy nas dużą sympatią, bardzo żywo interesuje się socjalizmem. Po odrzuceniu systemu brytyjskiego i z braku własnych doświadczeń państwowo-ustrojowych na poziomie nowożytnym młodzi Kenijczycy widzą możliwości adaptacji modelu socjalistycznego do własnych warunków.

— Tymczasem Kenia jest stosunkowo najbardziej probrytyjska z krajów afrykańskich.

— To prawda. Cały aparat administracyjny państwa został wykształcony w Wielkiej Brytanii, cały system oświaty jest dziełem Anglików. Uniwersytet, w którym wykładam, jest dokładnym duplikatem uniwersytetu londyńskiego, a większość rodzimej profesury posiada angielskie dyplomy. Z drobiazgow: obowiązuje lunch, przerwa na kawę, określony styl życia klubowego — jak na Wyspach.

— Studenci?

— Niesłuchanie chętni do nauki, bardzo gorliwi i dociekliwi, wpraszaający się na konsultacje, posiadający własne poglądy. Myślę, że utarte opinie na temat niskiego poziomu umysłowości Afrykanów są szalenie niesprawiedliwe. Owszem, nie zawsze dostrzegają oni ogólniejsze tło spraw afrykańskich. Ale to się zdarza wszędzie, jako że w dydaktyce wszystkich krajów kładzie się większy nacisk na dzieje własne, miejscowe.

— W wypadku narodów młodych lub doświadczonej w szczególności sposób jest to chyba odruch obronny...

— Afryka znajduje się jeszcze w stadium życia plemiennego i szczepowego, droga do narodu prowadzi przez akceptację zdobyczy cywilizacyjnych spoza tego kontynentu, a więc wartości w zasadzie uniwersalnych, przy jednoczesnym odrzuceniu wpływów obcych w sferze polityki czy kultury. To proces bardzo złożony, rodzący dyle-

maty natury filozoficznej i praktycznej.

— Czy studenci interesują się polityką?

— Bezwzględnie tak. W Polsce rzadko widywałem studentów tak objucczonych książkami z zakresu doktryn politycznych, jak ich kenijscy kole-dzy. Historia myśli politycznej jest na uniwersytecie jednym z obowiązkowych przedmiotów, a marksizm, wcho-dzący w jej zakres, należy do syste-mów szczególnie eksponowanych, co jeszcze raz poświadcza jego rolę w życiu dzisiejszej Afryki. Nie ulega wątpliwości, że wpływy marksistowskie w środowisku uniwersyteckim są niezwykle silne.

— O ile wiem, wysocy urzędnicy administracji, kierujący różnymi instytucjami i organami państwowymi,

dotkliwe 50 czy 100 dolarów opłaty, że nie zaliczony rok trzeba będzie kiedyś odpracować.

— Czy stosunki: wykładowca — student są zhierarchizowane?

— Podobnie jak w USA, w Kenyatta University College nie ma katedr i zakładów istnieją tylko wydziały i sekcje. A na wydziale wszyscy są sobie równi, każdy, od profesora do asystenta, ma swój zakres czynności dydaktycznych i naukowych, nikt nikomu nie podlega — poza oczywiście sprawami organizacyjnymi. O „feudalizmie naukowym” nie ma mowy, w swobodnej atmosferze kształtują się koleżeńskie kontakty...

— U nas, niestety, niezbyt jeszcze częste.

— Natomiast profesor dla studenta jest starszym kolegą, który „wie le-

AFRYKA OD WEWNĄTRZ



Rozmowa z prof. dr. Henrykiem Zinsem

traktują je niemal jak prywatne interesy. Spory szmat kraju należy poza tym do prezydenta. A z drugiej strony obowiązkowa lektura Marksa i klasyków na uniwersytecie!

— Nie bez powodu mówiłem na wstępie o skomplikowaniu współczesnego życia Afryki. Weźmy na przykład standard materialny ludności. Większość społeczeństwa żyje w biedzie — w lepiankach, szalasach. Równocześnie istnieje niesłychanie zamożna grupa — kilka procent ogółu mieszkańców kraju — składająca się z Anglików, Arabów i Hindusów, którzy zbijali fortuny przez pokolenia, od końca XIX stulecia, kiedy to biali i Hindusi pojawili się na tym terenie. Centrum liczące 600 tysięcy obywateli Nairobi przypomina wielkie miasta USA czy Kanady: wieżowce banków, hoteli międzynarodowych, wspaniałe sklepy firm europejskich i amerykańskich. Wokół niego rozciąga się pas zamożnych dzielnic arabskich i hinduskich o charakterze handlowym. W trzeciej, afrykańskiej, strefie panuje nędza. Więc Afrykanie nie lubią mieszkańców tamtych rejonów, a ponieważ tak się składa, że bogaci należą z reguły do innej rasy i odmiennej narodowości, konflikt klasowy zostaje pogłębiony i skomplikowany przez wymienione właśnie momenty. Ponadto inne plemiona niechętnie patrzą na dominację Kikuju, z którego wywodzi się sam prezydent. Tego rodzaju napięcia w jakimś stopniu łagodzi mądra polityka regionalna Kenyatty, ale chyba problem integracji wewnętrznej pozostaje na łal otwarty.

— Kto studiuje? Dzieci elity?

— Jedynym kryterium przyjęcia na studia są wyniki nauki w szkole średniej, trwającej cztery lata. Po ukończeniu gimnazjum Afrykanie idą na dwa lata do pracy, a dopiero potem rozpoczynają studia. Za naukę na uniwersytecie trzeba płacić i to dużo, ale wszystkim słuchaczom państwo udziela stypendiów o charakterze długoterminowych pożyczek — na lat pięć. Po podjęciu pracy absolwent uczelni zwraca stypendium w całości. Można by na ten temat i u nas kiedyś podyskutować... Studenci afrykańscy, jak wspominałem, uczą się pilnie. Każdy z nich wie, że nie zdany egzamin, to

pięknie, wie więcej”, z którym można przecież zjeść razem lunch, pograć w piłkę, wyprawić się na wycieczkę.

— Miałem takiego profesora, który n. obozie naukowym chadzał na rękach i grał w siatkówkę ze studentami. No i studenci ironizowali co nieco...

— Jedyną podstawą oceny wykładowcy jest jego poziom naukowy, czyli inaczej, niż w pewnych krajach. Kiedy profesor nie zyska u studentów autorytetu intelektualnego, nie udowodni swej znajomości rzeczy, podczas jego wykładów sale świecić będą pustką.

— Dziewczęta także studiują?

— Niewielka liczba. W ogóle miejsce kobiety w społeczeństwie jest nadal drugorzędne, jak wszędzie tam, gdzie dotarli Arabowie. Mężczyzna posiada przeciętnie cztery żony; tyle właśnie miał posłaniec uniwersytecki, biedny czło-wiek. Małżonki nie są zazdrosne o pana domu, pierwsza dama jest nawet zadowolona, jeśli zaprosi on na noc drugą, albowiem w ten sposób ma okazję odpocząć. W życiu politycznym i naukowym kobiety pojawiają się rzadko, aczkolwiek państwo lansuje hasło emancypacji. Natomiast na oficjalnych przyjęciach Afrykan-ki wyróżniają się pięknymi, ludowymi szatami.

— Właśnie. Kultura w Kenii nawiązuje do tradycji plemiennych, czy też do europejskiej? A może melanż?

— To, co wartościowe w kulturze dzisiejszej Kenii, wywodzi się z tradycji lokalnej. Przykładem niech będą znakomite grupy taneczne i chóralne oraz niektóre przejawy rzeźby w drewnie, tzw. macondy. Ogólnie jednak biorąc „stylistyka cepelli” nie ominięła i tego kraju. Luksusowe kina i tea- należą w większości do firm zagranicznych w rodzaju Metro Goldwyn Mayer czy Paramount, co automatycznie określa ich repertuar. Hindusi — to także wymowne — posiadają kina i teatry własne; prezentowane tam dzieła mają specyficzną konwencję artystyczną.

— Nairobi to centrum nie tylko Kenii, ale i całej Afryki wschodniej. Mało tego, w mieście znajdują się agen-

dy różnych organizacji międzynarodowych w rodzaju UNESCO, tu formują się wyprawy typu safari. W stolicy przebywa zatem znaczna liczba cudzoziemców, także z Zachodu, przyjeżdżają grupy plemienne z interioru. Jedni mówią językiem swahili, inni po angielsku i francusku, tamci znów po arabsku. Proszę powiedzieć, czy w tej wielości nie gubi się to, co afrykańskie — na rzecz kosmopolitycznych hybridy?!

— Angielski jest jedynym językiem urzędowym, ale istnieje tendencja lansowania swahili, będącego stopem jednego z lokalnym języków z arabskim. Na niższych szczeblach „oleczeniństwa z rzeczy obcych przy, tylko język i trochę zwyczajów — dominuje tradycja. Natomiast elity odchodzą od niej, są „angielskie”, używają tego języka nawet w rodzinnych domach, ubierają się i odżywiają na wzór europejski. Jest to krytykowane. Najbliżej prawdy będę, jeśli powiem, że Kenia skutecznie stara się zachować kompromis między cywilizacją białego człowieka a własną kulturą.

— Jakie wartości tradycji szczepowej nie straciły swej żywotności i praktycznego znaczenia?

— Zasada uczciwej współpracy, wzajemnej pomocy w tej dużej rodzinie. Tłumy potrafią gonić kogoś, kto coś ukradł.

— Panie profesorze, proszę scharakteryzować źródła do przygotowywanej pracy „Od Imperium do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”, której idea, choćby tylko sama idea, skłania chcąc nie chcąc do respektu. Imperialny, zachodni, polityczny problem widziany z perspektywy polskiego naukowca, to działa na wyobraźnię!

— Korzystam z różnych źródeł, pisanych i archeologicznych. Jeśli chodzi o wybrzeże, są one bogate i opublikowane po angielsku jako kodeksy źródeł. Gorzej sprawa wygląda w wypadku interioru, który nie znał pisma. Historycy afrykańscy posługują się tutaj metodą, która dla europejskich jest trochę nie do przyjęcia: ufają tradycji ustnej na odległość około 500 lat. Istnieje niebezpieczeństwo zdeformowania prawdy historycznej przez mity, stereotypy lub tradycję oficjalną, urzędową. Pewne wyniki może dać porównywanie przekazów autoryzowanych przez różne szczepy. Tradycja ustna została zanotowana i wydana przez afrykanistyczne instytuty angielskie, a obecnie znajduje się w centrum wyjątkowo bacznej uwagi kenijskich naukowców. Mnie interesują pewne zagadnienia polityczne, ustrojowe, moment przechodzenia od Imperium do Wspólnoty.

— Miał Pan okazję zetknąć się w Kenii z Polakami?

— Oczywiście. Nie tworzą oni co prawda żadnej organizacji polonijnej, jest to bowiem grupa dość nieliczna i rozproszona, to przecież zasługują na uwagę i serdeczność z naszej strony. Najczęściej rzuciły ich do Afryki wydarzenia ostatniej wojny, tym właśnie sposobem trafił tutaj książę Eustachy Sapieha, syn ministra spraw zagranicznych RP w latach dwudziestych. Od dawna poza krajem, prowadząc przedsiębiorstwo turystyczne obsługujące safari — Sapieha zachował żywy sentyment do kraju, gromadzi polskie książki z zakresu historii, śle dzieci na studia do ojczyzny.

— Wszystko wskazuje na to, że w Lublinie mieszka jego korepetytor sprzed ponad pół wieku, sędziwy już pan Wincenty Stankiewicz, o którym „Kamena” pisała rok temu!

— Losy Polaków w Afryce wschodniej mam zamiar przedstawić w osobnej publikacji. Ale to temat nieprzetarty, muszę szukać śladów, tropów w Afryce, w Londynie, docierać do ludzi, którzy coś wiedzą, o czymyszli. Za pół roku powinienem jednak złożyć tekst w wydawnictwie UMCS.

— Przebywa Pan w Afryce z żoną i dwójkiem dzieci...

— Tak, dzieci chodzą do szkół.

— Przepraszam za niedyskrecję, ale ile Pan płaci za ich naukę?

— Trzecią część moich uniwersyteckich poborów.

— Dziękuję za rozmowę i proszę o następne spotkanie. Za rok, po Pańskim powrocie do kraju, który tak pożytecznie dla nas reprezentuje Pan w Kenii.

Rozmawiał
Ireneusz J. Kamiński

WĘGIEL TUŻ, TUŻ...

Dokończenie ze str. 1

polskiej technologii, polskiej myśli naukowo-technicznej, kwalifikacjach polskiego robotnika, technika, inżyniera. I nie od dziś przecie, dlatego zapraszają nas do budowy kopalni nawet w dalekich Indiach, gdzie w Sudamdich i Monidich obecny dyrektor naczelny Lubelskiego Zagłębia Węglowego, Aleksander Babczyński, kierował przed laty polskim zespołem budowy kopalni.

Rozmawiam w Bogdancie z pracownikami myślowickiego PRG i oni nie używają terminologii sportowej, to prasa bije w bębnek rekordów. Oni natomiast mówią o konkretnych przedsięwzięciach, rzeczowych obliczeniach i ustaleniach. W tych wypowiedziach dźwięczy ton twardej rzeczywistości, męskiej ostrożności, zdolności racjonalnego przewidywania.

Górotwór w Bogdancie został zamroźony do 720 metrów, w dwu etapach: I — do 170 m, II — do 720 m. W Polsce nigdy się nie mroziło ani do tej głębokości, ani w dwu etapach. Ilość odebranego ciepła sięga tutaj gigantycznych wielkości miliardów kilokalorii. Chodzi o to, żeby wokół drążonych szybów utworzyć płaszcz mroźniowy, uniemożliwiający wdarcie się kurzawki.

Marian Cześniński, inżynier do spraw mrożenia powiada: *W Bogdancie natknęliśmy się na górotwór nietypowy: kredy, margle zachowują się inaczej niż na przykład piaskowice, z którym mieliśmy już do czynienia. Mrozić musieliśmy aż do 720 metrów, bo dopiero poniżej tej głębokości zalega karbon, który nie prowadzi wody. W takiej sytuacji przebieg mrożenia musiał być szybki, zaś płaszcz mroźniowy odpowiednio gruby. Trzeba było to wszystko obliczyć i przewidzieć. Właśnie dwuetapowość procesu mrożenia, a ponadto zwiększenie ilości czynnych agregatów mroźniowych, awaryjność sprzętu równa zeru, dyscyplina ludzi sprawiły, żeśmy się z robotą uporali szybko i, jak dotąd, skutecznie... Po pierwszym etapie mrożenia ludzie już przystąpili do głębiania szybu, a my mroziliśmy niżej. Ta równoległość wydaje się ważna w sensie organizacji budowy szybów.*

Z inżynierem Zbigniewem Stangretem, nadsztygarem, rozmawiam na temat gospodarki betonowej. Dotychczas w Polsce przy budowie szybów podawano się płynny beton rurami bezpośrednio z powierzchni w dół. Sprawiało to czasem, że beton „po drodze” się rozwarstwił, czyli w efekcie potem źle „wiązał”; rury się przecierały i zatykały, co opóźniało budowę. W Bogdancie płynny beton podaje specjalna pompa „Schwing” do centralnego zbiornika dozowania na rębnie szybu; stąd beton splywa do kubła, a następnie wędruje na dół do wysokości pomostu wiszącego w szybie; po otwarciu kłapy w dnie kubła beton wlewa się za stalowy szalunek.

Pompa „Schwing” i cała ta kombinacja to jest nowość w polskim górnictwie. Inżynier Stangret ściśle określa wydajność pompy — do 20 m³ na godzinę oraz pojemność kubła — 2,5 m³. Nie ma żadnych cudów, technika i człowiek, który potrafi się z nią obchodzić, przekonany o jej potrzebie i sprawności. Rzecz jasna, tego trzeba ludzi nauczyć. Mój rozmówca wspomina, jak się w Polsce wprowadzało szybowe ładowarki mechaniczne z czerpakiem o pojemności 0,2 m³. Robotnicy upierali się, że łopatami zrobią tę samą wydajność. *Padali — jak to mówią — na twarz i robili, ale nie tędy droga — powiada inż. Stangret. — Dziś z powodzeniem stosujemy w Bogdancie ładowarki z czerpakiem 0,65 m³, którym człowiek w żaden sposób nie jest w stanie sprostać. Ale w pierw trzeba było się przekonać do tych mniejszych.*

Tutaj bywa w pewnych przypadkach koncentracja sprzętu nawet ponad założenia projektowe, idzie o ładowarki i dźwigi powierzchniowe. Tworzy się na pewnych odcinkach trzecią rezerwę sprzętu. Na tym polega ostrożność i zdolność przewidywania, oczywiście — ostrożność nie ponad miarę ekonomii wykorzystania maszyn i urządzeń, ale jednak ostrożność potrzebna, skoro mamy do czynienia z budową kopalni pilotującej, a więc niejako doświadczalnej, gdzie mogą się zdarzyć

rzeczy nowe. I to każdej niemal godziny. Dlatego w Bogdancie i Myślowicach telexy pracują bez przerwy, na bieżąco podejmuje się decyzje co do rodzaju i wymiarów kręgów obudowy w zależności od wyników mrożenia.

Wszystko już było na dole. Były pomosty, młoty pneumatyczne, wiertarki, kubły, ładowarki, ale kombajn jeszcze nie było przy głębianiu szybów. I oto znalazł się na szybie nr 2 w Bogdancie. Inżynier Franciszek Świerż, który mi udziela na ten temat informacji, bije wszelkie rekordy ostrożności.

Urządzenie znajduje się w stadium prototypu i zastrzeżeń patentowych, więc jasne, że nie będziemy mówić o szczegółach technicznych.

— Od kogo wyszła inicjatywa tego pomysłu? — pytam inż. Świerża.

— Od naczelnego dyrektora PRG, mgr inż. Stanisława Gąsiora.

— Gdzie realizowano ten pomysł?

— W Dziale Projektów i Postępu Technicznego PRG Myślowice. W przedsięwzięciu brali udział ponadto: dyrektor techniczny PRG, mgr inż. Kazimierz Józefczyk, kierownik działu, mgr inż. Ludwik Cieślowski i reszta pracowników działu.

— Od kiedy pracowano nad wynalazkiem?

— Od lutego br.

— A pańska rola?

— Ja prowadziłem zespół opracowujący wynalazek. Projekt jest wybitnie zespołowy.

— Problem dobrania odpowiedniej głowicy urabiającej w zależności od rodzaju skał i urabianie w dowolnym miejscu całego przekroju szybu. Inaczej tego nie potrafię panu wyjaśnić.

— To wszystkie kwestie?

— Jeszcze przystosowanie kombajnu do współpracy z ładowarką i urządzeniami wyciągowymi.

— Troszkę bardziej syntetycznie o tym urządzeniu!

— Co śc oparta na hydraulic — mój rozmówca spogląda na zegarek. — Daje to łagodną pracę, ułatwia przemieszczanie urządzenia, sterowanie i angażuje dużo mniejsze moce niż przy innych urządzeniach mechanicznych.

— Ostatnie pytanie: jak długo pracował ten kombajn w Bogdancie i czy prototyp sprawdził się?

— Kombajn pracował od 5 do 24 sierpnia br. Stwierdził, że eliminuje w ogóle konieczność wyczerpującej pracy ręcznej przy pomocy młotów pneumatycznych. Z 14 ludzi zostaje na dole 7 osób, których zadaniem jest obserwacja, obsługa ładowarki, sterowanie, sygnalizacja... To ja już muszę iść...

— Ale...

— Żadne urządzenie nie powstaje bez ulepszenia. Wymontowaliśmy kombajn, żeby go udoskonalić. Wszystko robił pod kątem głębiania następnych szybów.

To ostatnie zdanie inż. Świerża wydaje się bardzo ważne. Bowiem budowa



Kombajn w czasie pracy

Fot. J. Jurkowski

— Najogólniejszy cel, który wam przyswieszciał?

— Teraźniejszość urabiania przy budowie szybów są to młotki pneumatyczne, a na niższych poziomach strzelanie. Kombajn zmechanizuje i przyspieszy proces urabiania, odciażając ludzi od najtrudniejszej, najuciążliwszej pracy. To jest cel.

— Najogólniejsza idea pomysłu?

— Przystosować kombajn węglowy, pracujący w poziomie i jednolitych warunkach geologicznych, do pracy w pionie i rozmaitych warunkach geologicznych.

— Jakże się tutaj zrodziły problemy techniczne do rozwiązania?

— Szereg problemów. Stabilizacja całego urządzenia w górej skale.

— Stabilizacja?

— Do czegoś go przecież trzeba przymocować! Bo musi iść w dół za pomocą. Następnie konieczność prowadzenia obudowy szybu przy pracującym kombajnie. Urabianie dna szybu na całym przekroju szybu.

w Bogdancie poza celem produkcyjnym pełni również funkcje poligonu wdrożeniowego i upowszechniającego postęp techniczny w naszym górnictwie i budownictwie, w czym niebagatelny udział również inwestora — LZW. Stąd tak wiele nowatorstwa tutaj, które mogłoby się wydawać ryzykiem, gdyby nie było tak rygorystycznie prowadzone i ściśle kontrolowane.

Efekty moich rozmów w Bogdancie komuś postronnemu i przygodnemu będą się wydawać może i nudnawe. Zawszczę to łatwiej rozprawić o rekordach, porównywać Lubelszczyznę z Pensylwanią, w której zakwitły bzy. Owo majowe kwiecie jest i u nas, choć pokłady węgla „na Bogdancie” zalegają zupełnie inaczej niż w Pensylwanii. Muszę wyznać, iż to, co usłyszałem od inżynierów, bardziej do mnie przemawia niż cała ta sportowo-poetycka metaforyka, gdyż posiada twardość i konkretność polskiego węgla. Twarda mowa nie trawa.

Maciej Podgóski

WZORY PATRIOTYZMU

PRZEGRANE militarnie powstanie 1830 roku przyniosło korzyści w postaci przeświadczenia, że idea wyzwolenia narodowego nie może pominać kwestii społecznej. Ze do czynu zbrojnego nie zaangażuje się wszystkich sił zbrojnych, jeśli nie da się im ujścia przez rozwiązanie nabrzmiałych problemów wewnątrz kraju. Ze rozstrzygnięcie w polu nie nastąpi bez rozstrzygnięcia w domu.

Na takie czekała przede wszystkim sprawa chłopska. Położenie chłopów na ziemiach trzech zabiorów, aczkolwiek z lekka różnicowane, wciąż było godne pożałowania. Obowiązująca w Królestwie Kongresowym konstytucja Księstwa Warszawskiego „zniosła niewolę”. Ale nie uwłaszczając chłopów pozostawiała ich nadal w zależności od właścicieli ziemskich, przez co formuła zwolnienia z poddaństwa działała jedynie na korzyść folwarków w ten sposób mających do dyspozycji źle płatną siłę najemną. Analogicznie młody kapitalizm Stanów Zjednoczonych zniósł niewolnictwo po to, by przez zainteresowanie robotnika zarobkiem zapewnić sobie zysk wyższy od tego, jaki był możliwy w warunkach pracy przymusowej. W dodatku ustanowiony jeszcze w r. 1818 dekret gen. Zajączka właściciela wsi czynił wójtem. Pokrzywdzony chłop wnosił oskarżenie do instancji, którą oskarżał.

Myśl polityczno-społeczna czterdziestych lat ubiegłego wieku w znacznym więc stopniu uformowana była sytuacją powstaniową, a w niej kwestią agrarną. O ile na początku stulecia w rękach chłopów znajdowało się (dane dotyczące późniejszego Królestwa Kongresowego) dwie trzecie ziemi, to w roku 1843 już tylko jedna trzecia. Malala podstawa egzystencji jednej z podstawowych warstw narodu, niska liczebnie wiejska ludność zmuszona do emigracji zarobkowej przeważnie w stronę uprzemysłowionych Niemiec, spadł stopień patriotycznej świadomości tych, których nieobecność w powstaniu spowodowała jego klęskę. Oczywiście niewiele za-

OD dłuższego czasu interesuję się problemami ludzi starych lub dopiero zaczynających wiek emerytalny, nie tylko dlatego, że i sam w nie tak znowu odległym czasie zasię kształtujący się wyż, przede wszystkim z przyczyn oczywistych. Ten wyż demograficzny ma swoje problemy i to ważne. Nie ma i nie może być jednoznacznych recept na „młodość górną i durną”, nie ma ich tym bardziej na piękne i godne przeżycie starości. O ile wielu odważa się szukać ich dla pierwszego ćwierćwiecza człowieczego życia i radami szafuje nazbyt szczerze, to nie istnieje wcale moralistyka odnosząca się do „wieku srebrnej jesieni”, jeśli nie liczyć Biblii, nauk świętych Augustyna i Hieronima oraz wielu innych ojców Kościoła. Współcześnie adres ten właściwie jest niespotykany. Uważa się zapewne, iż kto przeżył tak wiele, poradzi sobie tym lepiej z nadaniem kształtu duchowego swoim ostatnim latom. Działa tu swoliste tabu, stanowiące tamę wszelkiemu krytycyzmowi, pozwalające o ludziach starych mówić i pisać jedynie pochwalnie. Do większości, która przykładnie i owocnie zaznaczyła swoją „smugę cienia” i nadal jej nie przekreśla, nie słuszniejszego. Wszelka jednostronność jednak jakże daleko odechodzi od realiów i prawdy życia! Nie potrafiłem oprzeć się tym sceptycznym myślom, gdy ostatnio, na skutek licznych listów, odwiedziłem tych, co przed odejściem na emeryturę całe życie przemieszkali w lesie i borom służyli. Naród to w opinii społecznej niezwykle spokojny, sielski i anielski jeszcze pielęgnujący, staropolskie obyczaje, zamknięty może w sobie, ale szczerzy i poeciwy, przyjazny ludziom i zwierzętom. Wśród samej przyrody, jakżeby tacy ludzie nie mieli się uchowac?

Owszem, zdarzają się jeszcze tacy leśnicy, sporo ich w myśliwskich przysiadkach, co to nie jeden, nie dwa razy na dziku się przewieźli, a nigdy

reagował na to rozmiłowany w swobodzie saskiej, „bigosujący” od tam galachy, tym bardziej nie uznał potrzeby przemian ultrazachowawczy obóz „rzewuszczyzny”, ale tendencje postępowe wynikłe z krytycznego widzenia ówczesnej rzeczywistości krystalizowały się i przybierały formy organizacyjne. Związek Świętokrzyżców, Stowarzyszenie Ludu Polskiego, Gromady Ludu Polskiego — oto ugrupowania o orientacji, którą później określił Karol Marks: „Wielkie kraje rolnicze między Morzem Bałtyckim i Czarnym mogą wyzwolić się od patriarchalno-feudalnego barbarzyństwa tylko w drodze rewolucji agrarnej, która przekształciaby poddanych lub pańszczyźnia-

powstanie. W powstaniu brał udział od 11 lutego 1831 r., w marcu tego roku został promowany do stopnia porucznika 7 pułku jazdy lubelskiej, pełnił funkcję adiutanta gen. Skrzyneckiego, otrzymał Virtuti Militari. Jako ranny w oblężeniu Warszawy został ułokowany w twierdzy modlińskiej, a po jej upadku wzięty do niewoli. Zwolniony i wyleczony wrócił do Rudy, przez pewien czas znajdował się pod nadzorem policji.

Dla Kamińskiego rozpoczął się okres studiów, których nie było mu dane kontynuować na uniwersytecie. Była to nie tylko natura, ale i umysłowość żywa, łatwo dająca się połączyć z aktualnym problemem epoki. A więc oprócz rozważań o przyczynach upadku powstania i losie Polski studia nad klasyczną ekonomią angielską, utopijnym soc-

koła aktywność myśli rewolucyjnej w latach czterdziestych. Z kolei repliką na „Psalmy” był znany list Juliusza Słowackiego.

W roku 1843 omal nie doszło do następnego powstania. Było tak. Dembowski należał do spisku rzeźmiesiników i chciał doń wciągnąć Kamińskiego. Ten nie bardzo przekonany o powodzeniu przedsięwzięcia udał się do Poznania, by tam napisać książkę o perspektywach czynu zbrojnego. Zetknął się z radykalnym „Związkiem Plebejuszy”, ale wszelkie działania uznał za przedwczesne. Wyjechał do Berlina, by w spokoju zamierzać książkę doprowadzić do skutku. W Berlinie jednak otrzymał listowne przynaglenie Dembowskiego, który napisał, że powstanie jest w przededniu wybuchu. Kamiński wrócił i zdecydował się na udział w spisku. Dembowski wyjechał do Poznania, skąd miała się rozpocząć akcja zbrojna. Aleksander Karpinski działał w Lubelskiem, Kamiński czekał w kuźnie, by w odpowiedniej chwili ruszyć w Chełmszczyznę. I... spisek został wykryty. Za sprawą niejakiego Grosa, który wystąpił do Warszawy naprowadził na ślad policję. Nastąpiły aresztowania. Dembowski ocalał przez nieobecność, Kamiński — przez milczenie Karpinskiego.

Jednakże wyjazd do Poznania nie odbył się na próżno: oprócz tego, że powstał tam znaczny rozdział wspomnianych już „Prawd”, ukazał się drukiem pierwszy tom „Filozofii ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa”. Drugi został napisany w Rudzie, dokąd Kamiński wrócił po nieudanej próbie powstania. Ten drugi znów powędrował za granicę zawieszony tam przez Władysława Koscińskiego, kogoś w rodzaju edytorskiego pełnomocnika Kamińskiego w wydawnictwach zagranicznych.

Oba tomy nie są całkowicie spójne, jeśli chodzi o kął widzenia i sposób potraktowania problemu. W pierwszym autor wyraził pogląd tej warstwy szlachty, która pragnęła łagodnego przejścia od pańszczyzny do gospodarki kapitalistycznej na wsi, dając obraz społeczeństwa — przez położonego rozstrzygnięć — nie uwolnionego całkowicie od możliwości konfliktów, w drugim — przez zmianę spojrzenia pod ciśnieniem wydarzeń — zmodyfikował pogląd pierwotny mówiąc o potrzebie bezwzględnej równości i sprawiedli-

wości. „Okres jedności społecznej” — tak nazywa ten etap a właściwie cel ludzkiego rozwoju. Wypowiada się za pracą przydzielaną stosownie do sił, za zapłatą uwarunkowaną rozmiarami potrzeb.

W roku 1845 policja wpada na trop nielegalnej działalności Kamińskiego, a równocześnie podejrzewa go o autorstwo „Prawd” i „Katechizmu”. Kamiński zostaje aresztowany i osadzony w Cytadeli. Rok później jest na zesłaniu w Wiatce, gdzie styka się z Michałem Sałtykowem — Szedrinem, który znajduje się tam za wydane „bez zezwolenia i wiedzy przełożonych” dwie opowieści: „Sprzeczności” i „Zagmatwana sprawa”. W pisanych po francusku listach do siostry rosyjski pisarz figuruje jako „Solitnikoff”. Niewiele o tych kontaktach możemy się dowiedzieć, ponieważ listy podlegały cenzurze.

Dziełem chyba najbardziej znanym w dorobku publicystycznym Kamińskiego jest „Wojna ludowa”. Możemy to stwierdzić bez większego ryzyka, skoro znaczenie „Wojny” okazało się w sposób aż tak niewątpliwy. Oto w sto lat po jej napisaniu, w czasach nam współczesnych, dowództwo francuskiego Ruchu Oporu opracowując instrukcję dla swych oddziałów, zwanych maquis, posłużyło się tekstem Kamińskiego. Instrukcja nosi tytuł „L'insurrection est un art” („Powstanie jest sztuką”) i zawiera skrót wskazań podanych przez polskiego autora. Sięgnijmy do nich: „Taktyka początkowego powstania, nie mającego jeszcze nigdzie punktu oparcia, zasadza się na tym, by wrogowi, chcącemu je ścigać, przedstawiać się w postaci drobnych, nieujętych oddziałów, stawiających w odwrocie męźny opór, a umiejących nierównego boju unikać, a łączyć się umiejących i pojawiających się niespodziewane na słabszych jego punktach, w postaci przeważnego zastępu, niszczącego pomniejsze jego oddziały. Który to zastęp wtedy tylko widoczny, gdy żądać ciosy, nie wiadomo skąd się bierze i gdzie się podziewa. Umie wynaleźć słabe miejsce wroga, a gdy wróg go szuka, wnet się ulatnia. Jest i nie ma go: jest, bo bije, nie ma go, bo go nie podobna znaleźć”.

Schorowany po powrocie z zesłania Kamiński przebywał w Szwajcarii dla poratowania zdrowia. W okresach polepszania pisał, ale do kraju już nie miał powrócić. Zmarł w Algierze 9 stycznia 1865 r. W historii ruchu postępowego, w dziejach myśli patriotycznej jest jedną z najwybitniejszych postaci swojej epoki.

HENRYK KAMIENSKI PISARZ I DZIAŁACZ

Zygmunt Mikulski

nych chłopów w wolnych posiadaczy ziemi, w drodze takiej samej rewolucji, jaka w 1789 r. dokonała się we wsi francuskiej”.

Jednym z najbardziej zdecydowanych rzeczników idei niepodległości i przebudowy społecznej w Polsce był Henryk Michał Kamiński.

Urodził się w Warszawie 24 lutego 1812 roku w posiadającej szczytne tradycje i nie bardzo zamożnej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec — również Henryk — brał udział jako pułkownik w bitwie o wawóz-samosierski, a po upadku Napoleona wrócił do rodzinnego majątku Ruda na Chełmszczyznę. Jeszcze raz rzucił się w szranki wojenne na wieść o wybuchu powstania listopadowego, by zginąć w bitwie pod Ostrołką w ręce generała kawalerii. Matka Kamińskiego, Franciszka, z domu Kochanowska, była potomkiem poety z Czarnolasu, a córka kasztelana Michała, tego właśnie, którego wymienia się jako dziadka „czerwonego kasztelanica”, Edwarda Dembowskiego. Los zdarzył, że dwaj najwybitniejsi działacze demokratyczni swego czasu — Henryk Kamiński i Edward Dembowski — byli ciocięciami braćmi.

Ledwo młody Kamiński po skończeniu liceum zapisał się na Uniwersytet Warszawski, wybuchło

jalizmem francuskim, niemiecką filozofią. Otrzymał nawet pozwolenie na wyjazd za granicę, przez co pogłębił swoje wiadomości o europejskich prądach umysłowych. Po powrocie — działalność konspiracyjna i publicystyczna.

Kamiński należał do Stowarzyszenia Ludu Polskiego, w którego skład wchodził również Związek Chłopski ks. Sciegiennego. W Stowarzyszeniu był członkiem jego warszawskiego kierownictwa.

Działalność publicystyczną prowadził dwutorowo: legalnie i nielegalnie. Legalnie ukazywały się artykuły w „Tygodniku Literackim”, „Roku” i „Przeglądzie Naukowym”, nielegalnie wyszły dzieła: „O prawdach żywotnych narodu polskiego” (Bruksela 1844) i „Katechizm demokratyczny czyli opowiadania słowa ludowego” (Paryż 1845), oba pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego. Należy przypomnieć, że to właśnie one stały się powodem powstania (opublikowanych pod pseudonimem Spiridona Prawdzickiego) „Psalmy przyszłości” Zygmunta Krasieńskiego, którego zanępo-

Skłócone źródła

Tadeusz Jasiński

nie salwowali się ucieczką. Naprawdę jednak leśnictwo również stało się swobodnym przemysłem i coraz mniej ma styczności z romantyzmem. Toteż u wielu zanikły stare cnoty. Jakże nie popaść w sceptycyzm, gdy gdzieś pod Siedlcami wielkie boje się toczą między byłym nadleśniczym małego rejonu, co na dwa lata przed emeryturą podporządkowany został młodszemu od siebie, ale wykształconemu, który władza teraz kilkoma dziesiątkami hektarów lasu? Cóż, stare zasługi są zapamiętane, nie mogą jednak rekomendować do tak skomplikowanych zadań, jakie obecnie stoją przed leśnictwem i przemysłem drzewnym. Nawet kardynalskie funkcje nie są już teraz dożywotnie.

Również w okolicach Kraśnika takie wojny napotkalem w moim rekonesansie. Ach, o wodę chodzi, w czym domu hydrofor ma sobie hałasować, a w jakim nie, i o kury, które lubią przez płot przeskokować, i o rozróżnianie warzyw w nieprzeznaczonym ogrodzie — czyje one są, i komu płot solidniejszy sporządzony, a komu za słaby, i co kto komu zawdzięcza z młodości, a teraz cześć należytej siwym włosom nie oddaje. Z ust młodych padają te i podobne zarzuty, a szacunek z chęcią byłby okazany, gdyby siwą głową szyła nadleśniczyni zbyt zadziornie nie kręciła, ponadto by właścicielka tego karczku zbyt nie pogardy wobec młodych sąsia-

dów nie manifestowała przed ludźmi i nimi samymi, obmawiać się nie trudniła, listów z pomówieniami do władz i redakcji nie pisywała, bo to bardzo, bardzo brzydko, i jeszcze by widząc w cudzym oku źdźbło za belkę go nie brała, bo przecież i w jej żrenice zajrzeć by warto, gdyż przebiegłe są i rzucają błyskawice. Tak, ale ten młody znówu popija za bardzo, a kiedyś to nawet pijał nie za swoje, bo stawiający byli, a mąż szacunek ma, odznaczenia posiada i z życia społecznego się jeszcze nie wyłączył i jemu należy się, co mu się należy! Litanie, niekończące się litanie wzajemnych oskarżeń, i zasług. I cały ten zasobny arsenał wytoczono w sprawie jednego hektolitra wody dziennie!

Także w niedalekim sąsiedztwie o wodę idzie między rodzinami leśników. Na dobrą pracę zawodową energii mniej poświęcają niż na tę świętą wojnę. Nie jest to zwykła burza w szklance wody, ale wybuch wulkanu z głębokiej studni. I znówu historia cała, jakiejś zamierzczłej zającia między ludźmi, którzy przecież kiedyś żyli zgodnie. Jakże ubogie życie wewnętrzne muszą mieć ci ludzie, skoro ten spór, nie wiadomo w końcu o co, tak ich wciąga i przejmuję! Kiedy nie starczyły słowne, niewybredne potyczki, zdechłego kota wrzucono sobie do studni, a gdy zwierzę wyślizgnięto, nafta stała się spo-

sobnym narzędziem: my nie będziemy mieli, ale i wy po wodę chodzić będziecie daleko! A państwo za to zapłaci, bo właśnie dla świętej zgody buduje zamiast 2 aż 4 hydrofory, gdy ani młody, ani siwy włos rozsądka w głowach nie przykrywa. Kiedy nie ma sprawiedliwych po żadnej stronie wznoszonej latami barykady, a dobrej woli nie ma, mociumpanie, mur fredrowski, drewniany płot, możliwie najwyższy, konstruktorzy leśni wznoszą, aby zło odgrodzić od zła, skoro zwykłych „zjadaczy chleba w aniołów przerobić” nie sposób.

Ale w tej wycieczce do źródeł niezgody u leśnych ludzi, spotkałem także swoistą nostalgię. „Piszę tak w tych skargach, co prawda i nieprawda, bo smutno teraz jakoś na emeryturze. Człowiek nikomu już niepotrzebny, nikt uszanowania nie daje, przyjaźni nie objawia, jeżeli jako gajowy służbę swoją dobrze sprawowałeś i z rolnikami w układy nie wchodziłeś. Piszę, bo wtedy ktoś przyjedzie, pobada, a i na pocieszenie coś powie”. Nie tylko gdzieś pod Rykami smutek wзира, powszechniejsze to uczucie u starych ludzi lasu. A obszar lubelskiego Okręgu Lasów Państwowych ogromny, śledem województw obejmuje. Pracownicy lasu rozproszeni są w pojedynczych domkach wśród boru, bądź na jego skraju, w małych osadach, gdzie często sąsiedztwo tak pożąd-

dane okazuje się być niezgodnym. W przyszłym dziesięcioleciu powstaną osady, które będą stanowiły centrum dla dużej przestrzeni. Chodzi o to, aby dzieci można dowozić do odległej szkoły, zapewnić wszystkie udogodnienia cywilizacyjne, jakie są udziałem mieszkańców miast. Zaniknie więc jeszcze bardziej postać gajowego, leśnika i drwala samotnika, ostatnie legendy o starych borsakach zostaną rozwiązane. Przybędzie wygód, ale zapewne i sporów, podobnych opisanym. Leśniczy, gajowy, cieśzą się, gdy w leśnych ostępach spotykają kolegę. Szczerze się z nimi witają i gwarzą serdecznie. Nie potrafią jednak obok siebie mieszkać. Przyzwyczajeni byli do samotnictwa. Mimo tego zastrzeżenia, może przynajmniej więcej uczyni się dla ludzi starych, uważających, że są niedocenieni. Czy będzie można jednak tym samym wyrugować niedobre przyzwyczajenia i zadziorność małych szlachciców z naturą ich zagrodowych antenatów?

Obserwując ludzi, którzy pięknie i wzorowo użytkowali swoje życie, a pod jego koniec duchowo karleja, wyraźnie sobie zaprzeczają, niechęć przekreślają to, czym się zaznaczyli, wojując właśnie o małe sprawy, robi się niekiedy smutno. Postępują na własną szkodę, niekiedy gorzej niżby im najgorszy wróg życzył. I nie jest to tylko starczy infantylizm. Takie postępowanie staje się, niestety, treścią ich ostatnich lat życia, zastępuje twórcze przedtem działanie. I to właśnie jest najsmutniejsze.

Uczy się młodych, jak mają żyć. Czy starzy skłonni byłiby takie nauki od życia przyjmować? Tylko od życia, bo nie znajdując nikogo, kto by im mógł pomóc, kogo by zechcieli usłuchać?

Józef Czechowicz

na łące
za cmentarzem przy Lipowej
w trzydziestym dziewiątym
wiosną
wybuchł przed tobą słup ognia

a może to nie było tak
może to tylko w tobie
może człowiek musi tak zapłonąć
by być poetą

Czarcia łapa

w czarciej placze
dziewczyna
przed chwilą zdiablił
się jej anioł
i szponiastymi
słowami
potargal rozpoczętą
przędę jutra



burza

kogucik
z trynitarzkiej wieży
połyka błyskawice
jak makaron
czy on przypadkiem
czegoś nie wie
o tym czerwonym
ptaku
który ukradł farę
i kilka razy próbował
porwać
całe miasto



**kościół
pobernardyński**

u bernardyńców w wirydarzu
gołębie wydziobują z trawy resztki
okruchów
spadających z okna jak manna z nieba
bury kot
usiłuje przez zakratowane okienko
włamać się do plebańskiej spiżarni
rozbawione jaskółki rzucają w siebie
kulczkami słońca
z wysokiej wieży
dzwon woła
świętego antoniego
na wotywę

wieczór

kolegiata uleciała na czerwonych skrzydłach
święci odjechali ognistymi karocami
pozostały trzy wierzby
przykryte zielonymi chwałami
monotonnie mamrocą pacierze
do jaśniejącej w głównym oltarzu jsc

**pszczoła
z ul. narutowicza**

przyszło jej umierać
na rozgrzanym betonie chodnika
w nieprawdziwym zapachu
nieistniejących kwiatów
już wiedziała że nie doniesie matce
tej ostatniej słodyczy
chciała już to przeżyć
ale nieustanne ujadanie kroków
ciągle ploszyło śmierć

ponowne spotkanie

dzisiejszej nocy dłużej niż zwykle
siedział księżyc na szczycie trynitarzkiej
wieży
rozmawiał z kogucikiem wracającym
z gościny u złotnika
oglądali złote wspomnienia
ukryte pod każdym piórkiem



rynek

w samo południe
spotkałem na starym
mieście
ukrytą w rybnej
bramie
pobladał z upału noc

Rys. K. Kozłowski

PODCZAS słonecznych dni można je spotkać w każdym parku miasta. Siedzą na ławkach przy Placu Litewskim, w Ogródzie Saskim i wszędzie tam, gdzie jest trochę zieleni i świeżego powietrza. Wożą w wózkach lub oprowadzają za ręce cudze dzieci. Przeważnie znają się dobrze i czas spaceru wykorzystują na pogaduszki, wymianę wrażeń wyniesionych z domów swoich chlebodawczyń oraz na ploty i ploteczki. Dzieciom każą mówić do siebie „ciociu”. Są w różnym wieku, jednak przeważają najstarsze, już w wieku emerytalnym.

Najmłodsze z opiekunek dziecięcych — dziewczyny wkraczające w wiek dojrzałości prawnej — nie lubią przyznawać się do swojej pracy. Mówią, że są kuzynkami chwilowo pomagającymi rodzinie. Jest ich niewiele, bo większość niewykształconych dziewczyn woli pracować fizycznie na państwowych posadach niż wykonywać ten „wstydlivy” zawód. Te, które nianczą dzieci, nie lubią rozmawiać o swojej pracy. Z niecierpliwością czekają na czas, kiedy po oddaniu dziecka pod opiekę matki wyjdą modnie ubrane do kina lub kawiarni. Nie starają się solidnie pracować. Nie zależy im na zadowoleniu pani — gospodyni. Wiedzą, że pracę znajda zawsze, wystarczy tylko kupić populudniową gazetę i przeczytać: „Pomoc do dziecka przyjmę od zaraz...”

Pani Halina R. mówi, że nie miała szczęścia do nianiek. Swoją półtoraroczną Ewę postanowiła oddać do żłobka, chociaż stać ją na zapłacenie pensji nianie, a wszyscy znajomi straszą ją całym garniturem bakterii i wirusów, które będą czyhać na jej Ewę w tej przechwalni dzieci.

— Mam dość nianiek — mówi. — Od sierpnia ubiegłego roku do maja tego roku miałam ich sześć i nie chcę mieć więcej. Nie mam szczęścia. Koleżanka z pracy już za drugim razem znalazła taką która pracuje u niej już trzeci rok. Jednak niektórzy trafiali jeszcze gorzej niż ja. Znajoma z bloku w ciągu trzech lat miała ich aż piętnaście!

Opiekunki do mojego dziecka angażowałam z ogłoszenia prasowego. Żadnej nie brałam na stałe, wszystkie były dochodzące. Pierwsza, Izabela, miała średnie wykształcenie, rentę i nadmierny pociąg do wódki. Pracowała cztery miesiące, ale nigdy nie zdążyło się, żebym mogła wypłacić jej

pensję w całości. Co kilka dni prosiła mnie o zaliczkę, którą przeznaczała na zakrapiane kolacje. Często gratisowo kupowałam jej żywność do domu, bo pamiętając o trudnościach, jakie miałam ze znalezieniem nianki, nie chciałam jej stracić. Odeszła po czterech miesiącach, gdy wydała się, że podczas mojej nieobecności wychodzi z dzieckiem... na piwo do „Trojki”. Następną, Barbarę, osiemnastoletnią, sympatyczną dziewczynę powitałam z radością. Zapal mój ostryg, gdy oświadczyła mi, że na spacer z Ewą wychodzić nie będzie, bo się wstydzi. Nie śmiałam protestować, gdy po powrocie z pracy zastawałam dziecko w kojcu i młodą nianię wpatrzoną w huczący na cały regulator telewizor. Po trzech tygodniach, kiedy wypłaciłam jej pierwszą pensję, odeszła bez jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Pomoc do dziecka przyjmę od zaraz...

Bożena Wasilewska

I znów dałam ogłoszenie do gazety. Trzecią opiekunką Ewy była pani Stanisława, dobra, zaradna nianka, która wymagała tylko gorącego obiadu z kawą — zawsze o tej samej porze. Placiłam jej, tak jak wszystkim, 1200 zł i wyżywienie. Jednak po dwóch miesiącach odeszła nie wyjaśniając przyczyn.

Po kilkunastu dniach poszukiwań zatrudniłam czwartą. Pani Helena była rencistką. Lubila dużo mówić i krzyczeć na Ewę. Już w drugim dniu przyprowadziła męża i syna, żeby obejrzel sobie mnie i mój dom. Oględziny wypadły chyba pozytywnie, bo zgodziła się zostać. Z dzieckiem wychodziła tylko przed dom. Przeprowadzała tam ze wszystkimi długie dysputy. Tym razem ja zrezygnowałam z niej po kilku dniach. Działała na Ewę jak czerwona płachta na byka. Dziecko płakało i wcale nie chciało przyzwyczaić się do nowej opiekunki.

Piątą, pani Waleria, była wdową. Pracowała tydzień. Pod koniec tygodnia zwierzyła mi się, że dziecko jest za małe, żeby razem z nim można było załatwiać swoje sprawy, np. sta-

nąć w kolejce po mięso, a „zdrowie ważniejsze niż pieniądze”. Odeszła.

Ostatnią, pani Krystyna, była bardzo dobrą nianią. Opiekowała się Ewą jak własną wnuczką, chociaż rządziła domem i wychowywała nas wszystkich. Jednakże po niecałych dwóch miesiącach odeszła. Teraz postanowiłam oddać dziecko do żłobka — nie chcę więcej nianiek.

Młode matki, które z różnych względów nie chcą porzucić pracy zawodowej i poświęcić się odchowaniu dziecka, niechętnie zatrudniają młodociane opiekunki. Powszechnie panuje o nich zła opinia. Mówi się o nich, że są brudne, niechlujne, że lubią alkohol i kradną.

Młode matki najchętniej przyjmują do pracy starsze kobiety. Przeważnie są one dorabiającymi rencistkami lub osobami, które wychowały już

dobrych paniach i panach znajomych opiekunek. Mówią obie naraz, prawie chórem:

— Bo wszyscy chcą tylko nas wykorzystywać za te marne pieniądze.

— Rzadko zdarzają się porządni ludzie, wszyscy nas wykorzystują. Nie ufają nam, a to ubliża, przecież nie przychodzimy do ich domów żeby kraść, ale kochamy dzieci i chcemy pracować przy nich.

— Najważniejsza jest miłość do dziecka, której nie doceniają. My nie jesteśmy takie, jak te młode, które pracują tylko dla pieniędzy.

— Najgorzej jest u lekarzy. Jedna taka to wylizowała kartofle na obiad i przeliczyła kawałki mięsa zostawione w lodówce.

— Moja znajoma odeszła z pracy, bo gospodyni miała do niej pretensje, że za dużo je. Wylizowała jej jedzenie.

swoje dzieci a teraz chcą dopracować się ZUS-owskiej renty.

Starsze nianki znają cenę swojej pracy. Są dobrymi opiekunkami, lecz żadna z nich nie zgodzi się na wykonywanie innych prac oprócz pilnowania dziecka. Niekiedy zdarza się, że któraś z nich podejmie się gotowania podopiecznemu jedzenia, nigdy jednak nie zechce robić żadnych przepieków ani też sprzątać. W zamian trzeba zaofiarować im 1200 — 1300 zł miesięcznie, ubezpieczenie w ZUS-ie, śniadanie, obiad i niekiedy kawę. Za to wszystko godzą się na pilnowanie dziecka i wychodzą z nim na spacer. Spotykają się w okolicznych parkach, rozmawiają, wymieniają poglądy.

Na jednej z ławek, w ogródku Jordanowskim przy Pl. Litewskim, siedzą dwie nianki, opiekują się dziewczynkami w wieku około 2—3 lat. Rozmawiają o swojej pracy. Obie są z niej zadowolone. Wychowały swoje dzieci, teraz dorabiają do renty. Lubią dzieci. Mówią że im wyjątkowo trafiła się dobra praca, chociaż na brak możliwości zatrudnienia nie mogą narzekać. Opowiadają sobie o nie-

Na obiad dawała tylko talerz zupy, a kto się tym naje?

— A taka jedna z LSM-u to nawet własnemu dziecku nie chciała dawać do syta. Gdy raz zawołało jeść, to odpowiedziało mu, na własne uszy słyszałam, gównu zjedz...

Nieopodal, na sąsiedniej ławce odpoczywa młoda dziewczyna w modnych spodniach z teksasu. Kolyśze w wózku niemowlaka.

— To też nianka — dowiaduję się od starszych pań.

Za chwilę usiłuję z nią porozmawiać. Mówi do mnie, że jest ciocia dziecka i w tym tygodniu pomaga rodzinie w jego pielęgnowaniu...

Na jednej z ławek przy fontannie spotykam przypadkowo jedną z moich dawnych znajomych, matkę półtorarocznego Łukasza. Chętnie dorzuca kwiatek do mojego ogródka i snuje opowieść z własnego życia.

— Pierwsza nianka Łukasza pracowała u mnie 10 miesięcy. Była siedemdziesięcioletnią, apodyktyczną kobietą. Mieszkała u nas na stałe, w jednym pokoju razem z dzieckiem. Miała stałego, odwiedzającego ją ado-

Pierwszy dokument jest hitlerowskim planem napadu na Poczta Polską w Gdańsku, opracowanym i sygnowanym przez samego Polizei-obermeistra, Ericha Goertza, komendanta 2 rewiru policyjnego; drugi dokument — to protokół przesłuchania ostatniego komendanta obrony poczty, Alfonsa Flisykowskiego, który dostał się do niewoli będąc ciężko ranny.

Zajmijmy się w pierwszej kolejności planem napadu. Nosi on datę „3 lipca 1939 r.”! A więc opracowany został dwa miesiące wcześniej, niż przystąpiono do działań wojennych. Autentyczność tego dokumentu została potwierdzona urzędowo i nie budzi wątpliwości. Plan zawiera: opis budynku Poczty Polskiej, przedpola, możliwości obrony przeciwnika oraz siły i środki wyznaczone do natarcia na pocztę. Przyjęto siłę uderzeniową w rozmiarach kompanii — 150 ludzi, uzbrojonych w broń automatyczną, lekkie i ciężkie karabiny maszynowe, granaty.

Obecna załoga Poczty Polskiej — czytamy w hitlerowskim ordre de bataille — wynosi około 50 ludzi. Prócz tego mieszka tam 14 mężczyzn i 11 kobiet. Załoga mogłaby się powiększyć podwójnie, w razie potrzeby, gdyż należy przyjąć stanowisko, że obywatele polscy mieszkający w pobliżu, a zdolni do noszenia broni, natychmiast pospieszą na punkt oporu.

O zarządzeniach obronnych i uzbrojeniu polskiego punktu oporu, nic nie wiemy.

Precyzyjnie opracowany plan bandyckiej napaści na Poczta Polską w Gdańsku przewidywał opór Polaków i doceniał ich waleczność, ale autorzy planu nie spodziewali się, że będzie ona tak zdumiewająca.

Świt — 1 września 1939 roku.

Plac Heweliusza o tej porze jest cichy i pusty. W gmachu Poczty Polskiej pełnią dyżur pracownicy zmiany nocnej. Nagle rozdiera ciszę salwa armatnia. Ryknęły działa pancernika „Schleswig-Holstein”, zacumowanego w niedalekim Nowym Porcie. W tej samej chwili frontowa ściana budynku Poczty Polskiej zasypana zostaje gradem kul. Ujadają hitlerowskie karabiny maszynowe z licznych stanowisk, zajętych przez napastników. Potężna eksplozja wstrząsa gmachem. W drewnianym płocie od podwórza, oddzielającym budynek pocztowy od części gmachu i przestrzni zajmowanej przez 2 rewiry policyjne — powstaje wyrwa, przez którą przebiegają skokami hitlerowcy. Kolejna eksplozja. Drzwi do pomieszczenia paczkarni rozlatują się w drzazgi. W kłębach dymu, kurzu i pyłu pojawiają się sylwetki Niemców, usiłujących wdrzeć się do wnętrza budynku. Wszystko odbywa się zgodnie z założeniami operacyjnymi planu napaści, opracowanego w lipcu 1939 roku.

Atakujących hitlerowców wita ogień obrońców. Pocztowcy polscy: Władysław Milewczyc, Bronisław Szule i Andrzej Górski zrozumieli w ułamku sekundy, że nadeszła chwila ostatniej próby... Napastnicy nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Wycofują się w bezładzie, pozostawiając zabitych — tego nie przewidywał plan napadu!

Równocześnie z atakiem na pomieszczenia paczkarni udało się hitlerowcom dokonać przebijania ściany dzielącej korytarz piwniczny (kiedyś budynek ten stanowił jedną całość; we wrześniu 1939 r. zajmowany był przez dwie instytucje: Poczta Polska i 2 rewir policyjny oraz Krajowy Urząd Pracy dla Wolnego Miasta Gdańska), ale nie znaleźli wtedy wolnego przejścia. Pocztowcy kilka dni wcześniej zatarasowali korytarz płataniną konarów i pników z drzew, ściętych sprzed budynku olbrzymich kasztanów dla odsłonięcia przedpola. Te prymitywne zasieki powstrzymały napastników.

Pierwsze natarcie hitlerowców zostało krwawo odparte. Rozwścieczeni niepowodzeniem otwierają gęsty ogień po budynku. Pocztowcy nie pozostają dłużni. Trwa obustronna wymiana strzałów, z różnym natężeniem, aż do godziny 10-tej. Wreszcie odzywa się działo artyleryjskie, ściągające przez Niemców dla wsparcia atakujących. Działo strzela na wprost. Roznosi żelazne ogrodzenie od strony Placu Heweliusza. Ruszają opancerzone wozy hitlerowskie, pod których osłoną napastnicy próbują zbliżyć się do gmachu. Próby te skutecznie likwidują granaty obrońców Poczty Polskiej.

Oto relacja pocztowca, Andrzeja Górskiego, uczestnika obrony Poczty Polskiej w Gdańsku: — Zbudziły mnie detonacje i gwałtowny ogień broni maszynowej. Pobiegłem na piętro, gdzie mieścił się nasz magazyn broni. Zastaliśmy tam dowódcę obrony Poczty Polskiej, którego znałem tylko z pseudonimu „Konrad”, oraz Flisykowskiego i kolegów Młyńskiego i Klinkosza. Ci ostatni rozdawali broń i amunicję. „Konrad” zapytał nadbiegających, czy potrafią obchodzić się z RKM-em? Zgłosił się Miąskowski, Marszałkowski i ja. „Konrad”, który rozstawił ludzi na stanowiskach, polecił mi pospieszyć na parter, żeby stamtąd ogniem ręcznego karabinu maszynowego wesprze kolegów, odparających atak na paczkarnię. Znalazłem się na dole akurat w chwili wybuchu, który zniszczył drzwi wiodące do paczkarni. Zaczęłam strzelać krótkimi seriami, a następnie ruszy-

liśmy do przeciwdzierzenia i zmusiliśmy Niemców do cofnięcia się. Wycofujących się hitlerowców obrzucono granatami z wyższych pięter. Później wielokrotnie zmieniałem stanowisko, ostrzelując z okien gmachu gniazda ogniowe przeciwnika. „Nosilo” mnie po całym budynku, wbiegałem także na wyższe kondygnacje, chcąc orientować się w sytuacji na zeewnątrz.

W którymś momencie dowiedziałem się, że „Konrad” padł zabity a dowództwo objął Flisykowski.

W pierwszej fazie walki krytyczny moment nastąpił wtedy, kiedy hitlerowcom udało się zrobić wylot w ścianie korytarza na trzecim piętrze.

Inny obrońca Poczty, August Młyński, tak relacjonował ów pamiętny dzień:

— O godzinie czwartej czterdzięci pięć obudziła mnie salwa armatnia i ogień karabinów maszynowych. Prawie równocześnie odezwał się wewnętrzny dzwon alarmowy, którym pełniący wtedy służbę kolega Szule wzywał na stanowiska. Alarm ten był już właściwie nie-

potrzebny, wobec tego, co działo się w okolicy. Pobiegłem do magazynu z bronią. Byli tam już „Konrad” i Flisykowski. Nadbiegł zaraz asystent Binnebesel, który pełnił nocny dyżur w centrali telefonicznej i zameldował o przerwaniu łączności ze światem zewnętrznym. Wydawałem broń razem z kolegą Klinkoszem, przy osobistym udziale dowódcy „Konrada”. W chwili, gdy odbijaliśmy ostatnią skrzynkę, pomieszczenie magazynu znalazło się pod ostrzałem nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. „Konrad” został trafiony i zginął na miejscu. Koleżki odnieśli zwłoki do sąsiedniego pomieszczenia. Dowództwo obrony Poczty objął starszy asystent Flisykowskiego, który rozkazał dostarczyć broń i amunicję na wszystkie stanowiska. Musieliśmy już pełzać, gdyż pomieszczenie magazynu znajdowało się pod nieprzerwanym ostrzałem. Za którymś nawrotem do magazynu znaleźliśmy się wraz z Klinkoszem pod ścianą, którą przebił pocisk artyleryjski. Zasyłało nas, straciłiśmy przytomność. Pocisk jednak nie eksplodował. Wyciągnięto nas spod gruzów i usunięto niewypał. Po odzyskaniu przytomności kontynuowaliśmy z Klinkoszem przenoszenie amunicji do piwnicy. Po zakończeniu tej czynności Flisykowski wyznaczył nas obu oraz kolegów Cygalskiego i Beckera na stanowiska na półpiętrze, od strony podwórza. Wielokrotnie obrzucałiśmy granatami szturmujących hitlerowców, którzy próbowali podchodzić od strony rewiru policyjnego.

W chmurach pyłu i gryzącego w oczy dymu obrońcy Poczty trwają nieugięci na stanowiskach, dwoją się i troją, zasypują ogniem czających się hitlerowców, strzelają z różnych punktów, żeby utwierdzić przeciwnika w przekonaniu, iż dysponują większą liczbą obrońców niż jest w rzeczywistości oraz uniemożliwić napastnikom wstrzelanie się.

Obrońcy Poczty Polskiej w Gdańsku dysponowali zaledwie trzema ręcznymi karabinami maszynowymi (RKM). Celowo odzywały się one z różnych stanowisk, sprawiając wrażenie posiadania przez obrońców większej liczby broni maszynowej.

Trwa nieustanna kanonada. Wśród pocztowców są liczni ranni. Człowiekiem, który stara się być wszędzie i przy wszystkich, jest dowódca obrony Alfons Flisykowski; jego także dosięgnie niebawem hitlerowska kula, przebijając mu udo. Bernard Binnebesel samorzutnie staje się sanitariuszem, niesie pomoc rannym towarzysząc broni.

W zapale walki obrońcy tracą rachubę czasu. Każdemu wydaje się, że bój toczy się już nieskończenie długo. Jest jednak dopiero południe. Niemcy raptownie przerywają ogień. Z radiowozów, przybyłych w rejon walki, rozlegają się nawoływania w języku polskim: „Podajcie się! Poddajcie się! Nic wam nie grozi! Poddajcie się!”

Rozgrzani walką, bohaterzy obrony polskiej placówki — samotnej wyspy, otoczonej przez hitlerowską nawałę — jednogłośnie odrzucają wezwanie do kapitulacji. Wierzą w rychłe nadejście odsieczy. Wierzą w zwycięstwo. Postanawiają walczyć. Byłe przetrwać jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze trochę...

Dwie godziny trwa przynębiająca cisza. Tylko oczy śledzą z ukrycia wszelkie poruszenia na zewnątrz. Pocztowiec Bernard Majewski roznosi kolegom pierwszy posiłek; chleb z kiełbasą i papierosy. Obrońcy korzystając z przerwy, wybierają dogodniejsze stanowiska, ładują opróżnione magazynki, przygotowują się do odparcia oczekiwanych ataków wroga. Z daleka dochodzi ich uszu odgłos kanonady artyleryjskiej. Orientują się, że to od strony polskiej Gdyni. Tylko jedna myśl jest w tej chwili do przyjęcia: „Nasi biją Niemców! Idą nam na pomoc! Wytrwaj! Wytrwaj!”

Punktualnie o godzinie 14-ej zaczęły ujadąć lufy hitlerowskich karabinów maszynowych, ryknęły działa artyleryjskie. Warkot motorów zwiastuje, że ruszyły wozy pancerne. Pod ich osłoną posuwają się odświeżone grupy uderze-

niowe hitlerowców. Frontowe wejście do gmachu Poczty zasypywane jest granatami. Ktoś rzuca propozycję ruszenia do przeciwnatarcia i przebijania się przez kordon hitlerowski. Dowódca obrony odrzuca tę myśl jako bezsensowną i nierealną.

Ranny zostaje w rękę pocztowiec Rogaczewski, nie schodzi jednak ze stanowiska. Strzela w stronę hitlerowców z jeszcze większą zaciętością, ogarnia go jakaś furia walki; zapowiada kolegom, że jeśli zobaczy kogokolwiek bez broni, lub gdyby ktoś zechciał się poddać Niemcom — własnoręcznie wpakuje mu kulę...

Hitlerowcy wytaczają tymczasem działo pod budynek redakcji gazety „Volkstimme”, znajdujący się na wprost gmachu Poczty i z tego stanowiska otwierają ogień na frontowe wejście. Niektóre pociski przelatują na wylot, aż na podwórzu. Odlamkami zostaje ranny asystent Binnebesel.

Artyleria milknie, ale teraz ruszają wozy pancerne i sięgają z broni maszynowej zbliżają się do gmachu. Za nimi, osłonięci, postępują hi-

skiego karabinu maszynowego stoi w gotowości z miotaczem strzela na Józefa Wasiaka. Podążający z rękami uniesionymi padają od kul, t obronców cofa się do ro na ponowne wezwieź się jeszcze nie ma Polaków.

Niektórzy z obrońców kapitulacji d

O ucieczce pona Franciszek Milewski, Augustyn Młyński, dowódca obrony — Al inni jeszcze próbują ale historia nie pozostaje Augustyn Młyński że uciekając natknął

OBRONA POCZTY P

tlarowcy. Obrońcy, dysponujący dwiema rusznicami przeciwpancernymi, unieruchamiają jeden pojazd. Z tej samej broni Rogaczewski celnie likwiduje gniazdo wyjątkowo dokuczliwego karabinu maszynowego.

Wyjątkową walecznością i odwagą wyróżniają się: asystent Stefan Cywiński, starszy asystent Heliodor Becker, starszy asystent Maksymilian Cygalski, ekspedient Stefan Nowakowski i ekspedient Kazimierz Rogaczewski. Pierwsi czterej odegnali wroga od wyrwy w korytarzu na trzecim piętrze i odpędzili napastników aż do Krajowego Urzędu Pracy.

Minęła godzina 18.00.

Pierwszy dzień drugiej wojny światowej chylił się ku końcowi. Czas do obrony Poczty Polskiej w Gdańsku, przewidziany planem — dawno już minął... Z zewnątrz nie nadchodzi żadna pomoc, żaden sygnał przebiegający serca, żaden błysk nadziei... Z szeregów obrońców padli na posterunku „Konrad” i Rekowski. Jest wielu rannych.

Załoga Poczty Polskiej w Gdańsku broni się!

Hitlerowcy wzmagają ogień artyleryjski. Dowodzący obroną Alfons Flisykowski zmuszony jest w tej sytuacji ściągnąć podkomendnych na parter i do piwnicy. Wróg czuje ich obecność i płaci krwią za każdą próbę zbliżenia się do gmachu nad którym dumnie łopocze polska flaga. Zdobywanie Poczty przedłuża się nieprzewidzianie i kompromitująco dla niemieckiego dowództwa. Pomimo wsparcia grup uderzeniowych ogniem dział piechoty, a później haubic — hitlerowcy nie posunęli się ani o krok. Wprawdzie budynek podziurawiony jest jak sito i z każdą chwilą przybywa jeszcze czarnych otworów w jego murach, obrońcy wciąż odpowiadają ogniem, tak samo intensywnym i celnym, jak w pierwszych godzinach walki.

W sztabie grupy gen. Eberhardta panuje zdesperowanie. Wciąż nie może wysłać meldunku do Berlina, że skończył już z tą „przeklętą pocztą polską”...

Skoro użyte dotychczas środki zawiodły — trzeba sięgnąć po bardziej skuteczne. Na pole walki zostaje pospiesznie sprowadzony pluton miotaczy ognia.

Pod osłoną wysokiego muru, w stronę bramy prowadzącej na podwórzu poczty, toczy się cysterna z benzolem. Za chwilę zacznie pracować motor pompy i mieszanka zapalająca pokryje ściany budynku, przeniknie do pomieszczeń na parterze i do piwnicy, w których zgromadziło się najwięcej obrońców. Jeszcze chwila i następuje wybuch. Cały gmach spowija czarny dym. Słychać głośnie jęki i górujący ponad wszystkim świdorzący krzyk dziecka — to jedenastoletnia Erwinka, wychowanka woźnych Pipków, uległa straszliwemu poparzeniu, wśród wielu innych.

Obrońcy Poczty prawie wszyscy zbierają się tuż przed wyjściem na podwórzu. Od ulicy ktoś strzela jeszcze krótkimi seriami do Niemców.

Gmach stoi w płomieniach.

Sytuacja z każdą sekundą staje się coraz bardziej beznadziejna dla garstki Polaków. Niemcy ostrzelują budynek ze wszystkich stron. Wroga kula trafia w rękę dr. Michonia, pełniącego obowiązki dyrektora Okręgu Poczty Polskiej w Gdańsku, który wcześniej odesłał całą swoją rodzinę do Polski, a sam pozostał wśród pracowników. Wszyscy teraz zgodni są, że dalszy opór nie rokuje żadnych nadziei, że trzeba podjąć ostatnią, najcięższą decyzję...

Ktoś przymocowuje do trzonka miotły białą koszulę i wysuwa ten znak poddania się do piwniczne okno. Flisykowski zdążył wydać ostatni rozkaz: przetrwać ogień!

Poczta Polska w Gdańsku przestała się bronić.

W otworze wyjściowym pierwszy pojawia się Niemcom nacelnik gdańskiego Urzędu Poczto-wego, Józef Wasiak; tuż za nim podąża broczący krwią dr Michon — obaj trzymają w rękach białe skrawki materii. Na lewo od gmachu pocztowego, w bramie pobliskiego domu mieszkalnego, przyczajona czeka obsługa hitlerow-

kowskiego. Na po brzuch Binnebesel, p lenie go. Władysław pod murem stał bla

Trzeba wyjaśnić, że działo pobudowane pod pocztowych oraz szopie zgromadziła Flisykowskiego, Górski, ski. Potężne kleby uciekinierom, stanow rzystając z drabiny p ka wspina się na da dostaje się do czyns Am Rahm. Wszystk otworem i są opust ewakuowały wcześn ców na czas walki.

Władysław Milewski trzymują się w lok spiesznie zmieniają n dujące się w szafach ją również dokume tożsamość. W tym dokonują tych same Młyński. Mogą ju przed wyjściem spo



Jenicy — obrońcy P na zdjęciu pocztow

kowskiego i nakłaniaj ale on kategorycznie o krwi, wie, że daleko zguba dla pozostałych im oddalić się naty Czwórka uciekinierów Milewczyc wyrusza w Górskiego, nie znając miast Franciszek Milewki postanawiają uciec Flisykowskiego znał go dnia rano. Zachowa wódecy obrony Poczty. mi. Oto niektóre fraz na organizację obrony sku i przebieg walki

Pytanie: — Co miało padku mobilizacji?

...Tuż za węglem
wej niemiecki żoł-
Strumieniem ognia
Człowiek zamienia
Michoniu trafia ku-
Pada martwy obok
pocztowcy — Si-
ski zatrzymują się
Cygański i Bec-
wyjściem. Reszta
arza. Wyjąd dopie-
Hitlerowców, którzy
agi zbliżyć się do

aty podjęli w mo-
ka myśl ucieczki...
Andrzej Górski,
Władysław Milewcyk,
Miąskowski i do-
kowski. Być może
z tego piekła,
wiecej śladów.
we wspomnieniach,
zwłoki Marszał-

Odpowiedź: — Dotyczyła ona nas o tyle, że
jako pocztowcy podlegaliśmy nowym zarządze-
niom. Według zarządzeń mobilizacyjnych sta-
waliśmy się automatycznie jednostką wojsko-
wą. W dniu drugiej mobilizacji (31 sierpnia
1939 r. — przyp. mój S. M.) „Konrad” przy-
niósł do mnie skrzyneczkę z prośbą bym ją
schował. Powiedziałem wtedy do niego, że cho-
ciaż nie mam karty mobilizacyjnej, ale jeśli
zajdzie potrzeba stawię się sam. Odpowiedział
mi, że nigdzie jechać nie muszę, że tutaj także
jestem żołnierzem... Z tej skrzynki wydobyl
granaty i pistolety, z których jeden został mi
wręczony. Położyłem pistolet na biurku i za-
pytałem „Konrada”, czy to ma być całe nasze
uzbrojenie. W odpowiedzi usłyszałem, że broń
się znajduje...

Pyt.: — Czy poczta miała być broniona?
Odp.: — Tak. Nie zamierzaliśmy pozwolić
usunąć nas z gmachu polskiego bezkarnie.
Wszyscy byliśmy jednomyślni w tej sprawie.

Kim był człowiek ukrywający się za pseudo-
nimem „Konrad”?

wych w charakterze rzeczoznawcy. Z tego sta-
nowiska, w kwietniu 1939 roku, oddelgowany
został do Gdańska.

Jak zrodziła się koncepcja obrony Poczty Pol-
skiej w Gdańsku?

Zarysowująca się groźba puczu hitlerowskie-
go na obszarze Wolnego Miasta Gdańska zdo-
pingowała Sztab Generalny Wojska Polskiego
do opracowania już w 1935 roku polskiego „pla-
nu interwencji gdańskiej”. W planie tym prze-
widywano akcję o charakterze zbrojnej demon-
stracji, bez wkraczania polskich sił zbrojnych
na obszar Wolnego Miasta Gdańska. W miarę
zaostrażającej się sytuacji politycznej, między
Polską a Niemcami, plan ten był modyfikowa-
ny. Ostatni wariant planu (z sierpnia 1939 ro-
ku), zakładał uderzenie siłami dwu dywizji pie-
choty, z rejonu Tczew—Skarszewy, przez rzekę
Radunię i opanowanie wzgórz w rejonie gdań-
skich dzielnic Emaus i Wrzeszcza. Zadanie to
wykonać miały 13 i 27 dywizje piechoty pod
dowództwem generała Stanisława Skwarczów-

...sza stawała się coraz cięższa. Zwłaszcza noc
mogły przynieść przykre niespodzianki. Diate-
go w gmachu Poczty czuwało pogotowie, ale
i wszyscy pozostali spali czujnie. Wspominając
tamte dni, już z perspektywą lat a zarazem
bogatszy w doświadczenia wojenne — zdaje
sobie sprawę, że zostaliśmy pozostawieni tam,
w Gdańsku, na tej samotnej wyspie, własnemu
losowi... Obiecywano nam rychłe nadejście po-
mocy wojskowej, po kilku godzinach oporu...
Później, jak się okazało, korpus interwencyjny,
który uderzyć miał na Gdańsk, użyty został na
innym odcinku frontu...

Ta ostatnia noc sierpniowa była wyjątkowa.
Raczej intuicyjnie wyczuwaliśmy, że coś musi
nastąpić. Byliśmy jakoś wszyscy bardzo pod-
nieceni. O śnie mowy nie było. Przez radio
odebraliśmy treść ultimatum Hitlera postawio-
nego Polsce. Zawierało ono kategoryczne za-
danie bezwarunkowego przyłączenia Wolnego
Miasta Gdańska do Reichu oraz udostępnienia
Niemcom eksterytorialnych dróg tranzytowych
przez polskie Pomorze. Berlin oczekiwał odpo-
wiedzi rządu polskiego w najbliższych godzi-
nach...

Taka była ich ostatnia noc przed walką. Dal-
sze losy obrońców, aż do chwili kapitulacji Po-
czt — już znamy. Co nastąpiło później?

W bronionym budynku poczty zginęli: dowó-
ca oddziału samoobrony, Konrad Guderski, oraz
pocztowcy — Brunon Marszałkowski, Stanisław
Rekowski, Bronisław Szulc; w momencie ka-
pitulacji zastrzelony został niosący białą flagę
— znak zaprzestania walki — dr Jan Michoń;
już po kapitulacji spalony został żywcem naczel-
nik Józef Wąsik; sześć dalszych ofiar to:
Bernard Binnebesel, Stefan Cywiński, Alojzy
Franz, Józef Mitkowski, Jan Pipka (dozorca)
oraz 11-letnia Erwinka.

Jeńców wziętych z gmachu Poczty hitlerow-
cy poprowadzili ulicami miasta do Prezydium
Policji. Po drodze, triumfujący i zięjący nie-
nawistną Niemcy gdańscy, obrzucali Polaków
obelgami i zadawali im urazy fizyczne. W bu-
dynku policji znęcano się nad nimi i torturo-
wano ich nieludzko.

Postępowanie sądowe prowadził przeciwko
uczestnikom obrony Poczty Polskiej w Gdań-
sku dr Giesecke, radca sądu wojennego Wehr-
machtu z grupy wojsk gen. Eberhardta. On też
prowadził przesłuchania uwięzionych. Po za-
kończeniu parodii, zwanej „procedurą docho-
dzeniową”, obrońcy Poczty, którzy w myśl po-
stanowień Konwencji Haskiej powinni być
traktowani jako żołnierze armii regularnej, sta-
ją przed trybunałem hitlerowskim oskarżeni
o... bandytyzm!

„Trybunałowi” przewodniczył gdański praw-
nik dr Bode. Los obrońców Poczty jest już
dawno przesądzony: kara śmierci — tak brzmi
werdykt, od którego nie ma odwołania, cho-
ciaż formalnie odwołanie takie skazanym przy-
sługiwało.

Zapada trzydzieści osiem wyroków śmierci!
5 października 1939 roku był ich ostatnim
dniem, w którym widzieli słońce.

Sięgnijmy jeszcze do relacji naocznego świad-
ka mordu, dokonanego na polskich pocztow-
cach, Aleksego Rosińskiego:

Jako więzień obozu dla Polaków, w Gdań-
sku-Nowym Porcie, w początkach października
1939 roku, bliżej nie pamiętam dnia, gdzieś
około godziny czwartej nad ranem, wybrany
zostałem do grupy dziesięciu więźniów, którą
pod silną eskortą esesmanów przewieziono za-
mochodem ciężarowym przez Brzeźno na Za-
spę. Tam zatrzymano się przy strzelnicy, usta-
wiając nas pod kulochwytem. Na miejscu był
już komendant obozu Max Pauly i jego po-
przednik. Po upływie niespełna pół godziny
przybył oddział wojskowy w sile około osiem-
dziesięciu ludzi, uzbrojony w karabiny z na-
sadzonymi bagnietami. Oddział ten stanął za ku-
lochwytem. Niebawem nadjechał samochód oso-
bowy, z którego wysiadł kapelan i oficer, a tuż
za nimi przybyły dwie ciężarówki kryte bre-
zentem. Z tych samochodów wyprowadzono pod
eskortą trzydziestu ośmiu mężczyzn, skrupowa-
nych powozami za ręce. Wśród nich znajdował
się chłopiec w mundurku i płaszczu polskich
gimnazjalistów. Z ubioru pozostałych wynika-
ło, że są urzędnikami Poczty Polskiej w Gdań-
sku. Grupę tę ustawiono kilkanaście kroków
przed nami. Podszedł do niej później kapelan
z towarzyszącym mu oficerem i Maxem Pau-
lym. Oficer odczytał wyrok, którego treść, jak
zdołałem zapamiętać, brzmiała: „W imieniu
prawa skazani zostali na karę śmierci przez
rozstrzelanie urzędnicy Poczty Polskiej w Gdań-
sku, za zbrojny opór przeciw ludności cywil-
nej”.

Nastąpiło wyliczenie imion i nazwisk ofiar,
których nie zdołałem zapamiętać, wstrząśnięty
tym, co miało nastąpić. Czytający zaznaczył, że
skazanym — jako ostatnia łaska — przysługuje
przyjęcie komunii świętej. Skazani ukłękli i ka-
pelan udzielił im komunii... Następnie esesmani
zawiazali skazanym oczy opaskami i dwójkami
ustawiali pod kulochwytem. Jedynie dowódca
obrony, Alfons Flisykowski, nie pozwolił sobie
zawijając oczu. Na kilka sekund przed salwą
plutonu egzekucyjnego wznosił okrzyk po pol-
sku i po niemiecku:

— Niech żyje Polsko!

Stanisław Mojewski

LSKIEJ W GDAŃSKU

...kłęczał ranny w
kolegów o dostre-
zyk zapamiętał, że
Władysław Szulc...

...oi pocztowego dzie-
raże dla samocho-
na rowery. W tej
tka uciekinierów:
Milewcyzy i Młyn-
o dymu sprzyjały
konałą osłonę. Ko-
żarowej cała piąt-
y i tą drogą prze-
mienicy przy ulicy
żkania tutaj stoją
Władzie niemieckie
ystkich mieszkań-

Stefan Górski za-
piętrze, gdzie po-
pocztowe na znaj-
a cywilne. Porzuca-
gające zdradzić ich
czasie na parterze
ności Milewcyzy i
schronienie. Tuż
a parterze Flisy-

W kilka lat po wojnie na śmietniku pod
Gdańskiem znaleziono niemiecką księgę ewi-
dencji cmentarnej. W księdze tej, wśród zna-
nych nazwisk pracowników Poczty Polskiej w
Gdańsku, którzy polegli w obronie tej placówki
w dniu 1 września 1939 roku i zostali pocho-
wani na cmentarzu pod Gdańskiem (Zaspa, w
poblizu Wrzeszcza), figurowało nazwisko nie-
znanego „Konrada Guderskiego”. Nazwisko to,
ujęte w ewidencję pod n-rem 2704/1939, z datą
śmierci „1 września 1939”, znaleziono również
w księdze zgonów byłego niemieckiego Urzędu
Stanu Cywilnego Gdańsk 1...

Ujawnienie tego faktu nasunęło przypuszcze-
nie, że Konrad Guderski i dowódca obrońców
Poczty Polskiej w Gdańsku — „Konrad” to ta
sama osoba. Rozwiązaniem zagadki zajęło się
Biuro Historyczne Wojska Polskiego. Wkrótce
ustalono bez cienia wątpliwości, że „Konrad”,
to właśnie Konrad Guderski. Inżynier Konrad
Guderski, podporucznik rezerwy Wojska Pol-
skiego, wysłany w okresie przedwojennym przez
władze wojskowe w Warszawie do Gdańska dla
wykonania zadań specjalnych.

...skiego. Ponadto plan przewidywał współdzia-
nie bojowe oddziałów polskiej Obrony Wybrze-
ża — od strony zachodniej oraz jednostek flo-
ty morskiej — z kierunku północnego. W pla-
nie interwencji znalazła swoje miejsce i zada-
nie Poczta Polska w Gdańsku. Na wypadek
puczu hitlerowskiego miała ona bronić się ma-
ksymalnie 6 godzin — „odgrywając raczej bier-
ną rolę w akcji”. Pocztowcy polscy w Gdań-
sku mieli być po kilku godzinach uwolnieni
przez nacierające oddziały polskie. Niestety, z
tej koncepcji pozostała jedynie desperacka
obrona osamotnionych patriotów...

Dziś wiadomo, że jeszcze w dniu 31 sierpnia
1939 roku — a więc niemal w ostatniej godzi-
nie pokoju — Komisarz Generalny Rzeczypos-
politej Polskiej w Gdańsku zakomunikował
ministrowi Beckowi w Warszawie, że — jego
zdaniem — podjęcie zbrojnej obrony polskich
obiektów na terenie Gdańska, mija się z ce-
lem. Ten wysoki urzędnik państwowy dobrze
orientował się w sytuacji i przewidywał tra-
giczny rozwój wydarzeń. Warszawa nie ust-
sunkowała się do stanowiska Komisarza Rządu.

Obrona Poczty Polskiej w Gdańsku, a ściślej
mówiąc — przygotowanie jej obrony, zaczęło
się w marcu 1939 r., gdy stosunki polsko-nie-
mieckie uległy szczytowemu zaostrażeniu. W
marcu 1939 r. wprowadzono na Poczcie Pol-
skiej w Gdańsku stałe wzmocnione dyżury noc-
ne. W maju 1939 r. urzędnik cywilny Komisa-
riatu Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku,
Aleksander Jabłonowski, będący majorem Wojs-
ka Polskiego, otrzymuje dyrektywy zorganizowa-
nia oddziału samoobrony z członków załogi
Poczty. Wytypowani ludzie zostali zaprzysiężeni,
dostarczono im również broń: karabiny,
RKM-y, rusznice przeciwpancerne, pistolety i
granaty oraz odpowiednią ilość amunicji.
Wszystko to odbywało się w ścisłej konspira-
cji i — jak potwierdzają to dokumenty strony
niemieckiej — hitlerowcy do ostatka nie zdołali
rozszyfrować polskich przygotowań.

Stało się już zwyczajem ostatnich dni, że
wskutek szykan i ciągłych napaści na polskich
pocztowców nie zawsze mogli oni bezpiecznie
wracać do domów o późniejszej porze. Korzystali
zatem z noclegu w pomieszczeniach służbowych.
Krytycznej nocy, z 31 sierpnia na 1 września
1939 r., w budynku Poczty znalazło się prawie
50 osób. Najstarszy funkcją był dr Jan Michoń.
Pozostał także na noc naczelnik Urzędu, Józef
Wąsik. Poza pocztowcami, przypadkowo zupeł-
nie, pozostał na noc pracownik Polskich Kolei
Państwowych w Gdańsku, oficer rezerwy i ka-
waler Krzyża Virtuti Militari — Piotr Tesh-
mer. Ponadto w gmachu zamieszkiwał wielo-
letni woźny i dozorca, Jan Pipka, liczący 67
lat, jego żona Małgorzata i ich wychowanka,
11-letnia Erwinka.

Jednym z przybyłych na wzmocnienie załogi
Poczty Polskiej w Gdańsku był asystent An-
drzej Górski, oddelgowany z Bydgoszczy. On
również uratował się dzięki śmiałej ucieczce.
Zapoznajmy się z jego relacją, przedstawiającą
atmosferę ostatnich dni, poprzedzających wy-
buch drugiej wojny światowej:

— Przybyłem do Gdańska delegowany tam
służbowo z Bydgoszczy, w połowie sierpnia.
Wychodziliśmy na miasto do pełnienia służby
razem z kolegami z miejscowego Urzędu.
Na ulicach każdego dnia mnożyły się
przeciwko nam prowokacje, incydenty
i otwarcie wrogie wystąpienia. Poja-
wienie się polskiego munduru wywoływało
eksplozję nienawiści, nie tylko u paradujących
w uniformach członków SS czy SA, ale nawet
u osób cywilnych, starszych wiekiem, kobiet
i dzieci. Wielokrotnie dzieci właśnie obrzucały
nas kamieniami i najróżniejszymi epitetami.
Zdawaliśmy sobie sprawę, że hitlerowscy szo-
winiści tylko czekają na chwilę, w której bę-
dą mogli rozprawić się z nami bez pardonu.
Wcale nie kryli się z groźbami ani zamiarami
względem nas. Z każdym dniem sytuacja na-



Polskiej w Gdańsku po opanowaniu budynku przez hitlerowców. Widoczni
są rozstrzelani

Fot. Archiwum

...do dalszej ucieczki.
wia. Osłabił z upływu
udzie, że stanie się
warzyszy. Rozkazuje
iast. Sam pozostaje
działa się. Władysław
zarządztwie Andrzeja
dobrze miasta, nato-
i Augustyn Młyn-
pojedynkę.
wrowcy następnie
protokół zeznan do-
nych przed Niemca-
nty, rzucające światło
Poczty Polskiej w Gdań-
przedsięwziąć w wy-

Kim? Guderski urodził się 19 lutego 1900
roku w miasteczku Trybunalskim. Lata dziecię-
ce spędził w Pruszkowie, gdzie ojciec jego pra-
cował w warsztatach kolejowych. W 1918 roku,
jako ochotnik, brał udział w rozbrajaniu Niem-
ców, pełniąc funkcję zastępcy komendanta na
Dworcu Towarowym w Warszawie.

Mimo ciężkie warunki materialne, pracując
od jedenastego roku życia na swe utrzymanie,
ukończył gimnazjum, a następnie Politechni-
kę we Lwowie. W latach 1927/28 odbył czynną
służbę wojskową, ukończywszy Szkołę Podcho-
rzących Rezerwy w Rawie Ruskiej z tytułem
plutonowego-podchorążego. W dwa lata później
mianowany został podporucznikiem. Jako spe-
cjalista inżynier-wodny pracował przed wybu-
chem wojny w Ministerstwie Spraw Wojsko-

SOPOT 76

Istvan Grabowski

DO Sopotu udawałem się z mieszanymi uczuciami. Zorganizowany w ostatniej niemal chwili wyjazd był rzeczą co najmniej ryzykowną. Obawy okazały się jednak płonne, albowiem dzięki życzliwości Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych udało się pomyślnie przełamać wszystkie trudności i obejrzeć najciekawsze koncerty. A było ich sporo. Przede wszystkim uderzyła mnie festiwalowa atmosfera udzielająca się zresztą wszystkim. Głównie zaś totalna reklama — barwne plakaty, umieszczone w każdym wolnym miejscu, symboliczne słowiki w witrynach sklepowych, tudzież różnokolorowe wielkie krążki zawieszane nad głównym deptakiem miasta — ulicą Bohaterów Monte Casino.

Mimo odstraszącej, wydawać by się mogło, ceny biletów, każdego wieczoru 30-tysięczna widownia oczekiwała festiwalowych bojów. Z kilkunastu wykonawców przesłuchań konkursowych największe wrażenie zrobiła na mnie reprezentantka leninogrodzkiej „Melodii” — Irina Ponarowska. Wspaniały głos i obycie estradowe doceniło jury, przyznając jej główny laur festiwalu — Grand Prix de Disque. Fotoreporterzy natomiast jednogłośnie obwołali ją Miss Obiektu.

Niecierpliwie oczekiwany koncert wytwórni płytowych stanowił doskonałą okazję poznania wspaniałej Kati Filipowej z Bulgarii, laureatki pierwszej nagrody. Tradycją sopocką stało się już, że reprezentantki Bulgarii sięgają do bogatej twórczości Czesława Niemena, co kończy się dla nich pełnym sukcesem. Podobnie też było z Filipową, która na sopockiej estradzie z wielką ekspresją wykonała utwór Niemena „Jednego serca” w znakomitej aranżacji Aleksandra Braciovowa. Interpretacja tej piosenki ogromnie spodobała się również samemu Niemenowi, co miało swój wyraz w jego późniejszym występie. Z największą przyjemnością słuchałem koncertu „Gwiazdy Festiwalu”, gdzie oprócz Niemena wystąpiła popularna grupa wokalna Partita, i brytyjski solista rock and rolla — Alvin Stardust.

Główną atrakcją koncertu był dawno nie oglądany na estradzie Czesław Niemen. Tym razem zaprezentował on zaskakujące interpretacje kilku wierszy ulubionego poety, Norwida, m.in.:

„Moja ojczyzna”, „Larwa”, „Marmur biały” i fragmenty „Prometeusza”. Występem tym jeszcze raz udowodnił, że jego muzyka dawno przekroczyła ramy tradycyjnej formy rockowej.

Obok piosenkarzy stających w festiwalowe szranki przyjechali na zaproszenie PAGARTU z własnymi recitalami Albert West z Holandii, laureat sopockiego mitingu z 1973 roku, kapitalny interpretator utworu Leszka Bogdanowicza „Nie ma drogi dalekiej”, i rewelacyjna Alla Pugaczowa ze Związku Radzieckiego. Wydaje mi się, iż występ Pugaczowej, a zwłaszcza jej niektóre utwory z cudowną interpretacją „Arlekina”, na długo utkwiły w pamięci słuchaczy Opery Leśnej.

W tak wielkiej imprezie, jaką jest Festiwal w Sopocie, nie sposób uniknąć występów przeciętnych, czasem wręcz mierniutkich piosenkarzy, jakich zachodnie firmy rokrocznie nie omieszkają podsyłać. Tak stało się i w tym roku, a widocznymi przykładami byli choćby Dag Spantell z Norwegii, Kisu z Finlandii, Liberyjczyk Emanuel czy młodzianka Belgijka Nicole Mery — wszyscy debiutanci startujący dopiero w tym nielattym zawodzie. Ewentualny sukces na naszym festiwalu stanowiłby dla nich dopiero promocję do dalszego lansowania. Niezbyt to pocieszające, ale prawdziwe. Sądzę, że szanowna komisja artystyczna powinna zwracać baczniejszą uwagę i z masy zgłaszanych kandydatów wybierać tych najciekawszych, już sprawdzonych.

Pora na kilka uwag o polskich wykonawcach. Doborowa trójka czyli Alicja Majewska (Muza), Ewa Snieżanka (Pronit), i Krzysztof Krawczyk (Tonpress) sprawiła miłą niespodziankę. Festiwalowa publiczność długo musiała czekać na występ Ewy Snieżanki. W ubiegłym roku wypadek samochodowy wykluczył ją z uczestnictwa w tej imprezie. Teraz odniosła prawdziwy sukces. W żywiołowej pio-

sence A. Skorupki „Znajdę miłość” (nota bene jednym ze szlagierów festiwalu) Snieżanka pokazała rozpiętą skalę głosu i niezłą dykcję, toteż jury nie wahało się przyznać jej drugiej nagrody dnia płytowego.



Laureatka drugiej nagrody konkursu płytowego — Ewa Snieżanka
Fot. A. Kossobudzki (KAW)

Prawdziwą furorę zrobił jednak Krzysztof Krawczyk. Ten doskonale piosenkarz, o interesującej barwie głosu i niesłychanym temperamencie otrzymał aż trzy nagrody: publiczności, akredytowanych dziennikarzy oraz redakcji „Głosu Wybrzeża”.

Opiekun artystyczny i reklamowy Krawczyka firma Tonpress świetnie przygotowała się do tej roli. Nie zabrakło barwnych plakatów na kredowym papierze, folderów i płyt okolicznościowych, sprzedawanych we własnym, bodajże największym ze wszystkich wytwórni, stoisku, Tonpress postarał się też o własny koncert na molo, uznany przez publiczność za największą niespodziankę festiwalu. W koncercie wystąpiły dwie popularne grupy: Dwa Plus Jeden o-

WARSZAWSKI BRUK

KONCZY się kanikula i warszawski bruk — w swoich kształcie dostojnym uchowany jeszcze na takich ulicach jak Oboźna, Włociańska czy Ostroroga — zaczyna tętnić nieco żywym życiem. W poczytnym tygodniku znany pisarz informuje publiczność, że od kilku dni trawi czas nad lekturą pasjonującej monografii historyka amerykańskiego Paula Murray'a o Ludwiku XI. Notatka bardzo cenna dla przyszłych biografów, lecz poza tym nie z niej nie wynika. Zupełnie tak, jakbym napisał, że od miesiąca rankiem wyglądam przez okno i liczę przejeżdżające tramwaje. Mniej pościąglicy jest felietonista innego poczytnego tygodnika, który pasjonującej monografii Paula Murray'a poświęca cały felieton, akcentując szczególnie tę o czności, iż Ludwik XI był dobrym monarchą, gdyż wiedział dokładnie, o co mu chodzi. Tak oto rytm życia intelektualnego w Warszawie uzależniony jest potrośno od polityki przekładowej znanych firm wydawniczych; wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby tłumacze nasi zawieszili na rok lub dwa swoją działalność i naszym mędrcom zabrakłoby zwierzociadła, w których mogliby się przegłębiać. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że pisma nie zajmują się tylko Ludwikiem XI, lecz także naszym Przemysławem II, który ustawił się m.in. zamordowaniem swojej żony Ludgardy, po to by następnie samemu paść ofiarą skrytobójczej śmierci. Jeśli ufać piśmom, horrendalne rzeczy dzieją się na zamku w Malborku, gdzie dyrekcja tamecznego muzeum postanowiła nie dopuszczać do zwiedzania turystów samotnych. Stosowny materiał interwencyjny już się ukazał, teraz trzeba więc poczekać na wyjaśnienia.

Tak naprawdę jednak, intelektualizm warszawski żywi się głównie Montreal. Sam byłem świadkiem, jak do pewnego ogródka pod parasolami przybyli dwaj trenerzy — jeden bohater roku 1974, a drugi 1976 — i zasiedli, wymieniając przy tym porozumiewawcze spojrzenia, przy dwóch odrębnych stołkach. Bohaterowie roku 1974 asystował przy tym tylko jeden dziennikarz, który w dodatku wycałował się siódme poty, przeprowadzając jakiegoś wywiad. Z bohaterem roku 1976 było zupełnie inaczej. Przy jego stoliku krzątał się zwyczajny tłumek pochlebców, przebiegłych amatorów cudzej sławy, owych dziwnych slugosów, którzy kamerdynerstwo i li-zusostwo uznali za najlepszą przestankę własnego, wyzutego z jakichkolwiek dokonaj istnienia, a więc takich, którzy zdolni są w sprzyjających okolicznościach zaglaskać na śmierć nie tylko kota, lecz także twardego

i odpornego na ta miętutkie ciosy trenera reprezentacji. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trener okazał się człowiekiem do rzeczy i na wiekrośnię wypuszczanych w jego kierunku waz ucieszenia nie reagował w ogóle, a raz się nawet zdenerwował i zrugął szczególnie aktywnego wazelnarza. Sport jest w ogromnej modzie wśród warszawskich intelektualistów. Potrafią oni na tematy sportowe rozprawiać godzinami i z zapałem, znani koryfeusze nader chętnie godzą się występować w roli sportowych komentatorów, i choć zjawisko to

KATASTROFY Z WYBORU

nie przybiera charakteru tak epidemicznego jak w roku 1974, kiedy to sukces w postaci jednego srebrnego, a faktycznie brązowego medalu przewrócił nam wszystkim w głowach tak dalece, iż sądziliśmy, że rozwiązaliśmy już niemal wszystkie nasze problemy, to jednak daje o sobie znać. Po co bowiem rozwodzić się na temat własnej powieści, filmu, czy spektaklu teatralnego, skoro próciwej i skuteczniej można błąsnąć bajając o Ludwiku XI czy Hubercie Wagnerze? Z powieścią, filmem, spektaklem nie jeszcze pewnego, a Ludwik XI był przynajmniej utadką, który wiedział o co chodzi, a Wagner przywózł z Montrealu złoty medal. Skoro moja własna sława jest wciąż jeszcze czymś dwuznacznym i wątpliwym, stokrój lepiej podłączyć się do sławy cudzej — polityka ta w końcu nie jest porzucana pewnych znamion racjonalności. Nie więc dziwnego, że pierwszy lepszy biograf, czy pierwszy lepszy sprawozdawca sportowy z telewizji stają się pożądanymi partnerami osób nieźle już ulokowanych na intelektualnym świeczniku. Fakt że prosty nauczyciel historii, lub nawet kierownca samochodowy, zdradzają czasami ogromną orientację w tych sprawach dodaje tylko smaku przedsięwzięciu.

Oczywiście trudno mówić całymi godzinami o przekładach i o sporcie. Siłą rzeczy więc, po kilku godzinach międlenia ozorami, rozmowy schodzą na kobiety i oto zdumiony czełek dowiaduje się o nich takich różności, że aż włos jeży się na głowie. Warszawianki nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jak czują się obserwowane i z jaką pasją każdy ich krok omawiany jest w różnych, czysto męskich lub nawet mieszanych grupach nacisku. To wszystko jest w gruncie rzeczy dość dziecinne, ale tak żywe i szczerze, iż trudno zakładać, by intelektualści posiadali poza przekładami, sportem i kobietami faktycznie, bardziej wysublimowane pasje. Życie intelektualne spokojnie i bez szczególnych irytacji grzęźnie sobie na tych trzech rafach, rzecz można, że są to kata-

strofy wywodzące się nie z przypadłości losu, lecz z wyboru, iż dzielni sternicy sami dążą do tego, by jak najszybciej roztraskać sobie lby o owe skały. No i jest dobrze. To życie toczy się rzeczywistości „Z dnia na dzień” i kto wie, czy wymyślony na samym początku pisarz nie tworzy jakiejś przewrotnej epopei, polegającej na wyrzucaniu z obrębu swojej i współblich egzystencji jakichkolwiek pierwiastków epickich? Kto wie, czy nie kreuje on siebie w skrytości ducha na walecznego bohatera naszego czasu, a jego kronikarskie wyznania nie są swoistą spowiedzią dziecięcia wieku, które z premedytacją zablakowało się w przedczernym lesie własnych malutkich spraw i sprawczek? — Popatrzcie jaki jestem malutki! Najmniejszy z najmniejszych! I jaki w tej swojej maleńkości, w tym formacie milimetr na milimetr jestem waleki! Tylko ja w końcu mam odwagę przyznać, że nie uróstłem, a wręcz przeciwnie zmalałem.

Samobójstwa, jakiegokolwiek by były, budzą w nas mimowolny szacunek. Katastrofa z wyboru, to w końcu coś więcej niż uliczny wypadek. W końcu nie jest tak źle. Wieczorami stucham koncertyw fortepianowych Rachmaninowa, czytam wiersze Leśmiana, myślę trochę, a więc i odrobinę jestem, a marazm mojej egzystencji, czymże jest innym, jak nie marazmem czasu? Zauważę znajdzie się coś do przeczytania lub ktoś do podziwiania, a końcu też nikt nie zaprzeczy, że mam gust i posiadam moralny tytuł do wypowiedziania się na temat różnych zgola spraw. Nieźle jest także pisać o kotku, o śmieciach, o muszkach, aspirynie, bólu głowy, niesfornej młodzieży i innych różnościach, a gdy dostaje się wystąpić w cyrku i dowieść, że się jest jeszcze jako tako sprawnym w literalnym tego słowa znaczeniu. Jeśli na dodatek lubi się oglądać telewizję, w ogóle można nie wychodzić z domu, ponieważ telewizja jest owym stendhalowskim zwierzociadłem przechadzającym się po współczesnych gościńcach i widać w niej wszystko jak na dłoni. Jeśli nie lubi się telewizji, rolę tego zwierzociadła może pełnić kawiarnia, ogródek, bistro, Bóg wie co jeszcze. Tam można dowiedzieć się wszystkiego, co trzeba, a trzeba nieustannie. Zaledwie kilku okrucichów, z których przy pewnej dozie uporu da się zawsze odtworzyć, jeśli nie świat, to jego karykaturę. Na wstępie felietonu podałem trochę mylną informację, że oto w Warszawie kończy się kanikula. Nie można brać jej jednak z całym dobrodziejstwem inwentarza. Kanikula w niektórych umysłach warszawskich trwa od lat i nie nie zapowiada, iż jakiś grom z jasnego nieba przorwie nagle te stodkie wywczas. Zawsze znajdzie się nowy preklad, nowy trener z sukcesem olimpijskim, nowa kobieta, na której będzie można powieszać zupełnie nowe psy. Katastrofy z wyboru mają to do siebie, że są miłe i w gruncie rzeczy sympatyczne dla poszkodowanych, jak owe upojne razy sypiące się na kark masochisty. Co nie znaczy, że brak ludzi, którzy chcieliby owych katastrof uniknąć. Nie brak ich. Szkopuł w tym jednak, że nie są zbyt w modzie.

Maciej Szerowski

POEZJA BUŁGARSKA

W PRZEKŁADZIE TADEUSZA ROSSA

Borys Wulzew

ISTNIENIE

Upływa czas i dni nie liczy
i niby piach się w dłoni kruszy.
Kiedy zagasną już śnieżyczki,
wczesne pojawią się krokusy.
Samotna mrówka rankiem wstanie,
przeniesie ziarnko i żdźbło słomy.
Jak gdyby w życia oceanie
twój świat tkwi w wierszu uśmierzonej.
Ziemia — skorupka z morskiej toni,
niebo — wysokość niepoznana.
A żyłka tam u twojej skroni,
nad czołem twoim — to membrana.
Dla ciebie wszystko będzie znane.
Musisz być wszystkim doświadczony.
Twe oczy — jasne kwiatostany,
twa krew — wezbrany rytm szalony.
I zadziwiony pieśnią nową
ptaków co niebem się kołyszają,
powiesz nam drżące swoje słowo
nim cały się zjednoczysz z ciszą.

Elisaweta Bagriana

ODWROTNY STRACH

Boimy się gdy ku nam pełnie
żmija;
gdy w lesie nagle zjawi się przed nami
niedźwiedź;
kiedy w nocy zajdzie nam drogę
nastawiona lufa;
gdy nad nasze żniwo się skieruje
czarna chmura...

Boimy się kiedy biegnie za nami
wściekły pies;
gdy na morzu chwytą nas
huragan.
kiedy za sobą pocujemy czyhające
kroki;
gdy prześladuje nas cień
potwarzy...

Boimy się czegoś co naprzeciw nas
idzie.
Boim się czegoś co nas
goni. —

Ty, czasie, straszysz nas tym,
że uciekasz od nas. —
Ze z „dzis” stanie się „wczoraj”,
a z „jutra” stanie się
„kiedyś”.

Damian P. Damianow

DOM

Gdzie? Kiedy? Nawet rzec się boję:
czy żyłem tam, czy tam wyrosłem —
w owym najdroższym mi pokoju,
bielonym, z tchnieniem świeżej sosny.
Ten nieprzytulny pokój biały
pryczę i stół i półkę gościł
i stare księgi co obrzmiały
z wilgoci, pyłu i mądrości.
Ten pokój biedny, skromny, mały
najbogatszego mego życia
młodością swą umeblowałem
z braku foteli, szaf, obicia.
Ten dom dobroci był garantem
choć widział głód wraz z marzeniami,
Turgieniew, Dostojewski, Dante
w mych wierszach żyli wraz z ptakami.
Teraz gdy jestem wciąż bezdomny
w rozkosznej mojej samotności,
znowu w pokoju moich wspomnień
chcę się przytulić najmiłośniej.
Gdzie? Kiedy? Lśni okienna szyba.
Czy żyłem tu, w tym słońcu, w cieniu?
Człowiek najlepiej żyje chyba
nie w domu z cegiel, lecz w zmyśleniu.

CHŁOPCY biegli ścieżką przez łąkę. Zdźbła trawy falowały w pachnącym wieźrze. Podążając za nimi bez zamiężenia czuła ciepło słońca poprzez letnią sukienkę. Jasnowłose główki dzieci oddalały się coraz bardziej, chociaż wołała. Biegli teraz wzdłuż rzeki szybkiej i pełnej wirów, której brunatna woda ukazywała się niekiedy poprzez galezie wikliny. Znikali i pojawiali się za pagórkami. Podskakiwali jak dwie wesole piłki, śmiejąc się nieprzerwanie.

Był to przyjemny sen.
Pomyślała, co oznacza: ona zostanie, a jej chłopcy będą biegli dalej przez życie. Ale obudziła się jeszcze bardziej i przypomniała sobie, że już nie ma lata, że jest jesień, że jest za drutami i chłopcy też są za drutami. Starła się zasnąć, żeby ich jeszcze zobaczyć. Może sen oznaczał, że dziś ich zobaczy? Zagubionych w obozowym mrowisku. Złaziła tylko krzyknąć, żeby trzymali się za ręce i żeby Piotruś opiekował się Maciusiem. Młodszy miał dopiero dwa lata. Nie próbowała zatrzymać ich przy sobie. We wrzawie, piskach i płaczu rozdzielano rodziny. Kobieta, która uderzyła Niemca, zastrzelili natychmiast. Dziecko czebięło się zabitej jak zwierzątko nie

Niech Bóg ma cię w opiece. — Nie — zaprotestowała. — Niech ma w opiece moje dzieci! Tamta uśmiechnęła się wówczas i zrobiła gest ręką, który przypominał jej chrzest Maciusia.

Był wieczór. Kiedy ceremonia dobiegła końca, zebrani wyszli przed kościół, 'q' znaczy jej mąż, ona, rodzice chrzestni, Radek i Anka; (Radka aresztowano i wywieziono na roboty do Niemiec, Anka zginęła na Szucha) i oczywiście Piotruś w odświętym ubranku. Aleja nadeszli dwaj księża, z których jeden nazywał się Siwecki i którego lubiła, ponieważ był zycznym i prawym człowiekiem.

Księża odbywali spacer tego sierpniowego wieczoru. Byli spokojni i radośni widząc zebranych przed zakrystią, jakby odwieczna wiara w dobro zwyciężające zło odpędzała furję przemawiającego Hitlera i dalekie pomruki wojny. Wówczas ksiądz Siwecki uczynił gest obejmujący i podtrzymujący zebranych.

Wróciła do baraku, w którym zaczynał się ruch. Kobiety biegły do latryny potykając się i gubiąc drewniaki.

Długie gwizdki przeszły powietrze. Kobiety ustawiły się wzdłuż baraków, obiegane przez

BIEG

Marek Żenni

rozumiejąc, że matka już nie żyje. Dzieci i stare kobiety popędzono kijami przez podwójną bramę z drutu kołczastego. Dowiedziała się, że dzieci mają osobny podobóz i mieszkają w barakach ze starszami, które się nimi opiekują. Niepokoiła się jakie mają wyżywienie, ale uspokojono ją, że dzieciom przysługuje połowa porcji dorosłego. Tak powiedziała kapo, która wydawała się przyzwolona kobietą — była tylko w obecności Niemców i to niezbyt mocno.

Mówiła też, że teraz jest lepszy okres, podobno na wiosnę było ciężiej w obozie.

Starła się zasnąć za wszelką cenę, żeby mieć jak najwięcej snu na dzień. Jakaś kobieta płakała i płakała, monotonnie jak płaczka na grobie.

Śmierdząca ciemność baraku pełna była chrapań, jęków, krzyków przez sen. Plecy i uda paliły ją od ukąszeń. Po oddzieleniu dzieci wpędzono kobiety do baraku. Wszystko odbywało się z waleniem kijami gdzie popadnie i okrzykami „schnell, schnell”. Jakby poza kijem i wrzaskiem nie istniały metody porozumienia. Musiały się rozebrać do naga, a mężczyźni w pasiakach z myckami na ogolonych głowach przystąpili do nich z maszynkami i obcinali kobietom włosy na głowie, pod pachami i na podbrzuszu, szybko i bez słowa. Kłoby włosów zmiatano i upychano w worki. Tylko uśmieški i cmokanie SS-manów asystujących pod ścianami mówiły, że jednak chodzi o kobiety. Przy końcu baraku wytatuowano im numery na rękach i wpisano do kartoteki. Potem wpędzono je do betonowego płytkiego basenu z wodą i szybko na drugą stronę, bo do wody wchodziły już następne kobiety z łysymi głowami, kołysząc białymi pierściami w świetle reflektorów. Nago czekały później kuląc się na wietrze, póki cały transport nie został ostrzyżony i wykąpany.

Nie przeziębila się po tej kąpieli, ale wiele kobiet kaszlało później, a niektóre nawet umarły. Wtedy, po kąpieli, dostały chustki na głowy, pasiaki obozowe i drewniaki. W baraku na przyczach znalazły koce i miski. Otuliła się kocem myśląc o dzieciach i bojąc się, że zaziębią się po takiej kąpieli. W kocu howało się mnóstwo małych wstrętnych odwołków napelnionych krwią poprzedniczek. W tym pięknym śnie ugryzienia wszysk zmieniały się w promienie słońca.

Zsunęła się z legowiska uważając, żeby nie nadepnąć na leżące niżej kobiety. Wysłała przed barak. Słońce rozżarzyło niebo na wschodzie jakby wróżąc, że stamtąd nadejdzie ocalenie. (Podobno Rosjanie bili Niemców). Pomiedzy śpiącymi jeszcze barakami poszła do latryny, bo później nie można było się dopchać. Jakaś postać zanurzona do połowy w kale daremnie próbowała wygrzebać się z rowu na brzeg. Widząc nadchodzącą wyciągnęła rękę dramatycznym gestem. Przemagał obrzydzenie wyciągnęła starszuskę z latryny. Rowy nie były zabezpieczone i chore kobiety często wpadały do odchodów. Dopiero po apelu wydawano wodę i mogły się umyć z nieczystości. Kobieta zgubiła drewniaki, nogi aż do bioder oblepiła cuchnąca maź. Wzięła ją pod ramię i zaprowadziła do baraku, który tamta wskazała. Nie weszła jednak do środka bojąc się wypędzenia. Usiadła na ziemi. Oparta o ścianę z nogami wyciągniętymi przed siebie przypomniała żebraczkę.

Patrząc na nią uświadomiła sobie, że ta starszuszka o wyschłych wargach jest w jej wieku i to, że inne kobiety korzystając z latryny w nocy musiały widzieć tonącą, ale żadna jej nie pomogła. Obóz zmieniał ludzi w wilki, ale ona starała się pomagać innym mając nadzieję, że ktoś pomoże jej dzieciom. — Co mogę dla ciebie zrobić? — zapytała. Kobieta otworzyła oczy i odpowiedziała bez wyrazu na udreżonej twarzy: —

funkcyjne z kijami, przypominające psy pasterskie spędzające trzodę. W apelu brały udział wszystkie, zdrowe, chore i martwe, te ostatnie leżąc pod ścianą baraku. Było coś fascynującego w tym niemieckim ładzie. Policzone wszystkie dwukrotnie. Ani jeden trup nie mógł brakować w kartotece. Wytropiono i wyciągnięto spod sienników te, które chciały spokojnie umrzeć.

Myślała o swoich chłopcach w tym piekle. Serce ścisnęło jej się jakby dotknęła je niemiecka łapa.

Stojąc w szeregu czuła, że kręci jej się w głowie. Widocznie z głodu. Odkładała kawałek margaryny mając nadzieję, że dowie się, gdzie są chłopcy i jakoś im prześle odrobinę tłuszczu. Ale poprzedniej nocy ukradziono jej te zapasy, więc nie miała co przelać, a sama była osłabiona wyraźnie. Miała coraz większe zawroty i ból głowy, z pragnienia zasychało jej w gardle. Apel przeciągał się jak zwykle. Znow liczone dwukrotnie. Czowała, że musi usiąść na ziemi, bo upadnie. Skończyłoby się to pobiciem, od którego jeszcze bardziej mogła zachorować. Miała dreszcze. Może byłoby to zwykłe przeziębienie? Czyjaś dłoń ujęła ją pod rękę i podtrzymywała.

Apel skończył się. Pobiegły do kotłów przywiezionych na wózkach o monstrualnie wielkich kołach, do którego wprzęgnięci byli więźniowie. Wypila łapczywie wywar z żółdli zwaną przez Niemców kawą i zmuszając się gryzła i żuła gumowaty chleb. Musiała być najedzona i silna dla swych chłopców. Po śniadaniu wydano im narzędzia.

Postarała się dostać łopatę, bo czuła, że pracując kilofem nie wytrzyma. Pomaszerowały tym razem w stronę północnej bramy. Spiewając skoczna, niemiecka piosenkę, łatwo wpadająca w ucho i z prostymi słowami o pastercie, która idzie po wodę dla swoich owiec i spotyka chłopca. Czowała gorąco pod powiekami i paliła ją policzki. Może zaraziła się od kobiety, której pomogła wydostać się z latryny?

Szły teraz między dwoma ogrodzeniami, za którymi baraki ciągnęły się długimi szeregami. Rozglądała się wokół mając przeczucie, że zobaczy swoich chłopców. Jesienne, blade słońce i marsz rozgrzały ją trochę. Po lewej stronie przed barakami kręciły się dzieci. Z opóźnieniem zrozumiała, że mijają obóz dziecięcy. Kolumna skręciła ponownie w lewo, tuż za drutami i kobiety niezwłocznie przystąpiły do pracy. Demontowały bocznicę kolejową.

Wydlubowała kamienie z nasypu cały czas wyopatrując, o ile to było możliwe, gdy kapo odwrócił się, albo zajęty był biciem złe pracujących. W pewnej chwili zobaczyła dwie małe postacie trzymające się za ręce. Poznała je natychmiast. Krzyknęła, zapominając o kapo i SS-manach stojących dalej z psami na smyczach.

Główki odwróciły się w jej stronę i chłopcy zaczęli biec, ciągle trzymając się za ręce, tak jak im kazano. Biegli do drutów co sił w nóżkach, chociaż w gromadzie kobiet jeszcze jej nie rozpoznali. Za nimi biegł już SS-man, powiewając polami płaszczem, w ciężkich butach.

Dopał ich i przewrócił na ziemię. Kopał w główki, aż małe ciała zaczęły przetaczać się bezwładnie po ziemi.

Podbiegła do ogrodzenia i rzuciła się na druty. SS-man stojący z boku odbezpieczył karabin i strzelił. Z jej prawej skroni wytrysnęła strużka krwi i przestała cierpieć.

POWSTANIE polonijnego szkolnictwa w Stanach Zjednoczonych wiąże się z początkami masowej emigracji chłopskiej. Pierwsza szkółka polonijna założona została przez mieszkańców wspomnianej już uprzednio osady Panna Maria w stanie Teksas w 1867 r. Następnie tworzone w większych skupiskach Polaków, jak Milwaukee, Chicago, Detroit, Buffalo, Nowy Jork itd. Do 1887 r. powstało około 50 szkół, do których uczęszczało około 14 150 dzieci. Większość placówek borykała się z trudnościami lokalowymi, cierpiała na brak wykwalifikowanych nauczycieli i podręczników. Elementarne programy nauczania były bardzo skromne. Z reguły wykładali duchowni.

W 1887 r. powstały dwie pierwsze polonijne szkoły średnie: w Chicago czteroletnia Akademia Najświętszej Rodziny dla dziewcząt i w Detroit Seminarium Sw. Cyryla i Metodęgo. Większe uznanie zyskało seminarium, chyba głównie z powodu niechęci przeważającej części ówczesnej Polonii do kształcenia dziewcząt. Realizowało ono równoległe kurs pięcioletniego gimnazjum klasycznego, dwuletniego kursu filozoficznego i trzyletniego wydziału teologicznego. W 1909 r. przeniesione zostało do Orchard Lake w stanie Michigan, gdzie działa do dzisiaj.

Seminaria te były wzorem dla następnych polonijnych szkół średnich, które powstawały kolejno w Chicago, Milwaukee, Shamokin i Erie. Liczba uczęszczającej do nich młodzieży była stosunkowo mała. Z inicjatywy ZNP w 1922 r. utworzono w Cambridge Springs w stanie Pensylwania pierwszą świecką szkołę średnią pod nazwą Kolegium Polskiego Związku Narodowego. Kolegium to realizowało program nauczania na czterech równoległych kursach: klasy przygotowawczej, szkoły średniej, niższego kursu kolegium amerykańskiego i kursu rzemieślniczo-handlowego.

Oświatę wśród dorosłych krzewiły też różne organizacje polonijne. Powołany do życia 1895 r. przez ZNP Wydział Oświaty organizował odczyty, udzielał stypendiów i prowadził biblioteki. Podobne zadania spełniało Towarzystwo Oświaty im. St. Staszica w Milwaukee, utworzone w rok później, oraz kursy wieczorne organizowane od 1908 r. przez Związek Polek. Ważną placówką oświatową był Polski Uni-

wersytet Ludowy, utworzony w tym samym roku przez socjalistów w celu popularyzacji osiągnięć nauk przyrodniczych i społecznych, posiadających sześć filii i 12 oddziałów, z których kilka przetrwało do dzisiaj.

Pod presją amerykańskiej hierarchii kościelnej usunięto język polski z wielu szkół polonijnych, co często podcinało rację ich dalszego istnienia. Wtedy to właśnie narodziła się idea szkoły dokształcającej w zakresie języka polskiego oraz wiedzy o historii i kulturze polskiej. Pierwszą placówką tego rodzaju zorganizowano w 1915 r. w Nowym Jorku i w ślad za tym utworzono Polskie Towarzystwo Oświatowe w Chicago w celu zakładania szkół dokształcających, rozwijania sieci bibliotek, czytelni i kursów dla analfabetów.

Młodzież polonijna stosunkowo późno i bardzo nielicznie zaczyna wstępować na amerykańskie uczelnie wyższe. W 1912 r. w 77 wyższych uczelniach amerykańskich studiowało zaledwie 96 osób (w tym 6 kobiet) pochodzenia polskiego, a w 1929 r. jedynie 339 osób (w tym 50 kobiet). Gdy w tym samym roku jeden student przypadł na 130 mieszkańców USA, to wśród Polonii aż na 4000 osób. Sytuacja taka wpływała ujemnie na miejsce naszych rodaków w społeczeństwie amerykańskim. Mimo stosunkowo małej liczebności, polonijne organizacje studenckie wykazywały jednak znaczną aktywność. W 1911 r. w Cornell University powstało Stowarzyszenie Studentów Polskich. W 1928 r. objęło ono swym zasięgiem całe Stany Zjednoczone. Aczkolwiek jego działalność jest już dzisiaj bardzo nikła, początkowo wniosło ono pewien wkład do popularyzacji kultury polskiej.

Po II wojnie światowej proces amerykańskiej szkolnictwa polonijnego wyraźnie nasilił się. Trzecia i czwarta generacja Amerykanów pochodzenia polskiego, kierowana pragnieniem równego startu życiowego z innymi grupami etnicznymi żyjącymi w USA dostrzegła, że szkolnictwo polonijne nie spełnia jej oczekiwań. Z tego to przede wszystkim względu nie zawsze chętnie młodzi wstępują do szkół polonijnych. Kierownictwo tych placówek, aby przyciągnąć większą liczbę uczniów, tak przecież kształtuje obowiązujące w nich programy nauczania, że nie różnią się one zasadniczo od amerykańskich szkół publicznych. Główna zasługa szkolnictwa polonijnego dla utrwalania polskości w USA polega więc obecnie na rozbudzaniu zainteresowania młodzieży pięknem kultury i języka polskiego. Zainteresowanie to wzmogło się w ślad za wzrostem znaczenia Polski Ludowej na arenie międzynarodowej.

Z kolei odnotować należy istotny wkład uczonych polonijnych do nauki i cywilizacji Stanów Zjednoczonych. Ich lista, mieszcząca wspomniane już wcześniej nazwiska, zaczęła wydłużać się gwałtownie w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej. Obecnie widnieje na niej około 2,5 tys. osób. Ten przyspieszony wzrost wynika z awansu społecznego amerykańskiej inteligencji polonijnej oraz z emigracji wojennej. Wspomnijmy tylko o najwybitniejszych.

W okresie międzywojennym Alfred Korzybski (1879—1959) uzyskał szeroki rozgłos w dziedzinie inżynierii i semantyki. Syn Heleny Modrzejewskiej — inżynier Ralph Moderski (1881—1940) wystąpił jako współautor gigantycznych mostów w Filadelfii i San Francisco, uznanych wówczas za szczytowe osiągnięcia techniki. Józef Tykociner uchodził za współtwórcę kinematografii dźwiękowej i wynalazcą aparatury filmu dźwiękowego. Związany przez wiele lat z USA Florian Znaniecki w swej bogatej spuściznie naukowej pozostawił m. in. studia na temat amerykanizacji polskich wychodźców chłopskich. Profesor matematyki Witold Hurewicz, zapoczątkował nowy dział topologii — teorię homotopii i rozwinął teorię wymiaru. Kazimierz Fajans, profesor chemii fizycznej, sformułował tzw. reguły przesunięć, jako prawo rozpadu promieniotwórczego, i odkrył nowy pierwiastek chemiczny pod nazwą proactinium. Wśród działających w okresie międzywojennym historyków polonijnych wyróżniali się: Wacław Kruszcza, Stanisława Osada, Mieczysław Karol Wachtt oraz szczególnie zasłużony dla Polonii amerykańskiej — Mieczysław Haiman.

Po drugiej wojnie światowej sławista Zbigniew Folejewski mianowany został konsultantem Komitetu Nagrody Nobla i prezesem Amerykańskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Języków Słowiańskich. Inny sławista, Edmund Ordoń, był sekretarzem i skarbnikiem tego Stowarzyszenia. Wśród literaturoznawców Ludwik Krzyżanowski, Szymon Terlecki i Wacław Lednicki położyli poważne zasługi w dziedzinie popularyzowania polskiej kultury i literatury w Stanach Zjednoczonych.

Liczna jest grupa znanych historyków polskiego pochodzenia związanych z USA. Wiele cennych prac naukowych wydał historycy: Tytus Komarnicki, Włodzimierz Drzewieniecki, Wacław Jędrzejewicz, Michał Sokolnicki, Marian Kamił Dziewanowski i inni. Historią Polonii amerykańskiej zajmo-

wali się m. in. Józef Wytrwał, Eugeniusz Kusielewicz, Jacek Przygoda, Władysław Siekaniec, Maria Ligouri, J. Słuska, J. Swatek, Teresa Polzin, Danuta Mostwin, Frank Renkiewicz i inni.

Lekarze polonijni w USA ustanowią obecnie grupę liczącą około 120 osób: wśród nich pewien odsetek stanowią naukowcy. Hilary Koprowski uzyskał rozgłos jako współodkrywca szczepionki przeciwko chorobie Heinego-Medina; był m. in. prezesem nowojorskiej Akademii Nauk Ścisłych. Leonard Ludomir Dmochowski osiągnął sukcesy w badaniach nad wirusem raka, podobnie Michał Laskowski. W chirurgii wyróżnia się Paweł Walczak, prezes Stowarzyszenia Chirurgów w stanie Nowy Jork. Zygmunt A. Wesolowski jest światowej sławy specjalistą w zakresie chorób sercowych. Jerzy Swinstoski zyskał szeroki rozgłos jako farmakolog. Kazimierz Funk uznany został za odkrywcę witamin, znajdujących szerokie zastosowanie we współczesnej medycynie i żywieniu.

W naukach ścisłych duże osiągnięcia posiadają badacze energii jądrowej: Gerard S. Pawlicki, Leon Safranski, Teodor R. Bobiński, Edwin Fudyla, Kazimierz Leśniowski, Leon Wojtonowski, Julian Ostapowicz, Paweł Baranowski, a zwłaszcza Emil Konopiński — konsultant naukowo-doradczy komitetu prezydenta. Inż. S. Łukasik opracował metodę wykrywania wybuchów atomowych. Inż. M. Bekker jest konstruktorem pojazdu księżycowego dla załogi „Apollo — 15”. Fizyk polskiego pochodzenia Norman J. Wagner należy do zespołu badającego kamienie księżycowe. Także Maria Zbigniew Krzywobłocki z dużym powodzeniem pracuje w dziedzinie kosmonautyki. Stanisław Mrozowski jest światowej sławy specjalistą badań nad węglem i redaktorem naczelnym pisma „Carbon” posiadającego międzynarodowy zasięg.

Wśród 52 matematyków — członków amerykańskiej Akademii Nauk, aż siedmiu jest polskiego pochodzenia. W dziedzinie logiki i filozofii sławę zyskał Alfred Tarski, od lat związany z produkującym uniwersytecie w Berkeley Stanisława Marcina Ułama odegrał ważną rolę przy obliczaniu termonu-klearnej reakcji wodorowej. Marek Kac jest ekspertem w zakresie analizy matematycznej i teorii prawdopodobieństwa.

PODOBNI jak w latach poprzednich, również i w minione wakacje dyrektorzy lubelskich teatrów rozpuścili swoich aktorów na urlopy. Ponieważ podobnie postąpił dyrektor Estrady, stąd jedyną dostępną dla każdego obywatela kulturalną rozrywką stał się pobyt w izbie wytrzeźwień.

W ubiegłym roku mieliśmy jednak kanikule bardziej urozmaiconą, gdyż na porzucony rynek kulturalny wkroczyły Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe organizując publiczne pokazy damskiego strip-teasu. Artystyczna rozbiórka w rytm muzyki ma to do siebie, że odbiorca nie potrzebuje znać miejscowego języka, co jest istotne w przypadku turystów zagranicznych, ani też posiadać odpowiedniego przygotowania do odbioru sztuki, co znowu ma kapitalne znaczenie dla widzów, którym bilety wciskają rady zakładowe. Ale w tegoroczne upalne lato nie było w naszym mieście damskich rozbiórki, organizowanych przez zepetry, jako że w tej instytucji czegoś zabrakło: albo chętnych do pracy, albo chętnych do rozbiórki się za pieniądze. I tą absencją na rynku kulturalnym Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe sprawiły srogą zawód turystom zarówno krajowym jak i zagranicznym.

Dla ratowania honoru miasta pewna działaczka pionu kultury średniego szczebla była nawet gotowa sama publicznie rozdziać się do goła. Nic z tego! W naszym

zinstytucjonowanym świecie zdejmowanie majtek w miejscach publicznych bez odpowiedniej koncesji staje się zwykłą obrazą moralności i jako takie podlega ściganiu. Tak więc i tym razem suche przepisy utraciły spontaniczną i cenną inicjatywę.

GDY KULTURA MA WYCHODNE

Do całkowitego blamażu na szczęście jednak nie doszło. Z odświeżoną naszą kulturze przybyło bowiem miejscowe podziemie seksualne, które zbiera się na pięterku w kawiarni „Unia”. I nieprawdą jest, że przedstawicielki tego artystycznego rzemiosła stanowią swoisty odtam rasizmu, preferując przedstawicieli krajów

zachodnich. Na naszym lubelskim czarującym rynku seksualnym Czech z koronami szwedzkimi w kieszeni jest równie przychylnie przyjmowany co przedstawiciel kraju Trzech Koron.

Lubelskie dewizowe podziemie seksualne, które znajduje się dopiero w powijakach, zdołało jednak udźwignąć cały ciężar porzuconej pracy kulturalnej. I jest to zasługa zarówno nielicznych profesjonalistek zweryfikowanych przez właściwe organa (nie mylić z męskimi) i przez nie wciągnięte do rejestrów, jak i licznych półamatorów, które w tym trudnym okresie znacznie zwiększyły aktywność.

Ustały nawet dawne nie kończące się waśnie między profesjonalistkami a młodymi adeptkami-amatorkami, jako że nie przywiązują należytej wagi do przestrzegania dyscypliny pracy i w kawiarni zjawiają się od czasu do czasu, udając w dodatku, że nie mają nic wspólnego z tym artystycznym zawodem. Ponieważ wszystkie panie miały pełne ręce roboty, nie zwracano uwagi na całkowite amatorki, noszące w tym środowisku miano darmodajek, którym za całe honorarium wystarcza kolacja w przyhotelowej restauracji.

Tak więc przez lato liczny i zdolny narybek zdobył odpowiednie szlify zawodowe i uzyskał zaliczenie wstępnego stażu pracy. Niestety, dalsze kształcenie musi odbywać się już na uniwersytetach rozmieszczonych w lokalach stolicy i Wybrzeża. A więc wkrótce tam odpłyną i w naszym froncie kulturalnym powstanie znowu dziura, której nie będzie czym zatkać.

Paweł

Tomasz Krzewski Księski

BALLADA O DWUNASTU KRAWCACH

z cyklu „Macabresca”

Szyli na miarę skrojone ubranie
szyli pospółtu
wśród trudu, mozolu
szyli żałobne ubranie
dni długich siedem
i nocy siedem
a klient był
j e d e n!
dwunastu chudych jak szczapa krawców
fastrygowano przy świecy blasku
czarne żałobne ubranie
dni długich siedem
i nocy siedem
a klient był
j e d e n!
dwunastu chudych, zmęczonych krawców
szyło ubranie przy świecy blasku
szyło żałobne ubranie
..... a klient czekał
i czas się rozulekał
niewidocznego zegara tykaniem
nocnym kontredansem zwolna spływających
kwadransów pasjansem
w igielne ucha cicho się nawlekał
cieniutką niteczką powoli przeciekał
a klient czekał
KUR zapiał!
dwunastu chudych, rozbudzonych krawców
przeciera twarze blade w świetle brzasku
wokóło pusto
znikł klient,
wampir czy senne marzenie?
wplątane w szare, mgliste przebudzenie
mętne przypomnienie —

a czarne ubranie?

... o rannej godzinie dwunastu krawców

w krawieckiej witrynie

dostojnie zawieszona

na — manekinie

czarne, żałobne ubranie

POD PARAGRAFEM

Kolejne wcielenie Alicji R.

DWA lata temu pewna dziewczyna naciągnęła mnie na 140 złotych w sumie, przedstawiając się jako dziennikarka z „itd”, przebywająca w Lublinie i mająca rzekomo kłopoty. Autor rubryki „Pod paragrafem” jako ofiara oszustki i mitomantki — to ma swój smak. Takich naciągniętych i oszkapionych było wówczas więcej, choćby hotel „Unia” na kwotę 1753 zł...

Skończyło się to wszystko przed lubelskim sądem, gdzie zeznawałem w charakterze świadka. Alicja R. stała się bohaterką dwu felietonów w tej rubryce. Pisałem wtedy, że ona obnażyła naszą rutynę, schematyczność myślenia i reagowania. Sama Alicja wydała mi się kimś, kto bardzo nie lubi własnej skóry, chce być kimś innym niż jest faktycznie, lepszym, ważniejszym, cenionym i tak dalej. Dlatego nie mając ukończonej nawet szkoły średniej, nie pracując, przebywając w środowisku narkomanów, na zewnątrz podawała się za dziennikarkę, ingerując w złożone, konfliktowe sprawy ludzkie.

W całym tym swoim nieszczęściu Alicja R. miała wówczas trochę szczęścia. Akurat była amnestia i sąd ostatecznie umorzył postępowa-

nie przeciwko niej, wychodząc z założenia, iż wyrok nie przekraczałby dwu lat pozbawienia wolności. Oskarżona została zobligowana do podjęcia stałej pracy zarobkowej i meldowania sądowi o zmianach miejsca swego stałego pobytu. Pisałem wtedy: „Może ona wykorzysta tę szansę?”

To wszystko było latem 1974 roku. Teraz jest też lato, siedzę w pokoju biurowym lubelskiego Sądu Rejonowego i oglądam zdjęcia Alicji R., jak podczas wizji lokalnej, ubrana w długą spódnicę, sweter i modne drewniaki, pokazuje milicji: tu podjechaliśmy samochodem, tu stałam, tam chłopcy przechodzili przez mur...

Alicja R. została zatrzymana pod koniec października 1974 roku, kilka miesięcy po wydarzeniach lubelskich, w jednym z wrocławskich domów studenta. Podawała się za dziennikarkę z „itd”, która dla napisania reportażu o studenckim życiu musi tutaj trochę pomieszkać, oczywiście gratisowo jak dla pani redaktor.

Narobiła ona galimatiasu wrocławskiej milicji, przyznając się początkowo do czterdziestu kilku włamań do aptek i magazynów szpitalnych. Ururomiono potężny aparat śledczy, fotografów, techników, daktylosko-

pów, psa tropiącego lmiem „Bongo”. Ostatecznie zostało udowodnione, że ona brała udział w trzech włamaniach. Posługiwali się kradzionymi samochodami, podjeżdżali pod aptekę lub magazyn szpitalny nocą, wylamywali co potrzeba, rabowali narkotyki i spirytus, a potem we Wrocławiu w mieszkaniu niejakiego „Chrystusa”, podobno aktora teatru Grotowskiego, odbywały się zjazdy czy też seanse narkotyczno-erotyczno-alkoholowe.

Rola Alicji sprowadzała się do siedzenia w samochodzie, kiedy chłopcy wykonywali „robotę”, i ostrzegania współpracowników klaksonem, gdyby zbliżało się „niebezpieczeństwo”. I tak nocą z 28 na 29 lipca 1974 roku włamali się do magazynu rezerw terenowych szpitala powiatowego w Strzelinie (woj. wrocławskie), rabując „towar” wartości około 13 000 zł. Nocą z 19 na 20 października ogolili ten sam magazyn na około 1500 zł. Musi to być bardzo pierwszorzędnie zabezpieczony magazyn! I wreszcie tej samej nocy zdążyli jeszcze włamać się do apteki w Ziębicach, grabiąc leki wartości około 10 000 zł.

W śledztwie wielokrotnie zmieniała zeznania, twarzą tylko obstawała przy jednym: nie zdradziła współników. I nie zdradziła. Niestety, wiadać tu postęp w jej przestępczej „karierze”. Ta solidarność, ten pseudonim — Fatima, to próba polknięcia w komisariacie wyrwanej z dowodu osobistego pierwszej kartki... Sąd w Strzelinie skazał ją na 3,5 roku pozbawienia wolności oraz 7000 zł grzywny. Wyrok zapadł 15 maja 1975 roku. Wrócono też do grzechów lubelskich, cofając skutki amnestii i podejmując umorzone postępowanie. Wyrokiem Sądu Rejonowego w Lublinie z 13 stycznia br. Alicja R. została skazana na 1,5 roku pozbawie-

nia wolności i 6000 zł grzywny. Czyli czeka ją pięć lat...

Jeden z zarzutów sprawy strzebińskiej dotyczył także wyłudzenia kwoty 6000 zł. Będąc w transie narkotycznym, Alicja R. znalazła się, sama nie wie jak, przed hotelem „Petropol” w Płocku. Wsiadła do taksówki i przedstawiła się jako dziennikarka z „Tygodnika Płockiego”, która ma do załatwienia różne pilne sprawy w Polsce. Trzy dni jeździła po kraju w kierowca, a licznik stukał, wreszcie w Kazimierzu powiedziała taksówkarzowi, żeby wracał do Płocka, a tam już redaktor naczelny „Tygodnika Płockiego” ureguluje rachunek...

W postępowaniu Alicji nieustannie wraca motyw bycia KIMŚ WAZNYM, wokół kogo skupia się zainteresowanie ludzkie, kto załatwia jakieś zasadnicze sprawy. Biegli sądowi piszą o psychopatii, cechach pseudologii fantastycznej. Dochodzić tu może jeszcze narkomania. Alicja mdleje na ulicach, by zwrócić na siebie uwagę. Przebywa w szpitalach, podając urojone choroby. Melduje milicji, że ktoś ją zgwałcił lub okradł. Mając siedem lat, dowiedziała się od kolegów, że jej ojciec to właściwie ojczym. Zresztą ojczym wyjechał potem do Izraela. Psychiatrzy mówią więc w przypadku Alicji R. o niskiej samoocenie i niezaspokojonej miłości rodzicielskiej.

W 1973 roku została przez sąd ukarana grzywną za uchylanie się od posiadania dowodu osobistego. Ona nie chce być sobą! Ale, wiadać, od własnej osobowości nie ma odejścia i Alicja, wcielając się w kolejne postaci dziennikarskie, zawsze pozostaje sobą — nieszczęśliwą mitomantką, której nieszczęście polega na tym, że ona działa na styku kompetencji psychiatrów i wymiaru sprawiedliwości.

pom

HOROSKOPY

Ważne od 20 IX do 3 X

BARAN
21 III — 18 IV

Sam(a) sobie narobisz bigosu jeśli skorzystasz z tej na pozór intratnej propozycji. Nie można postępować pochopnie, a zwłaszcza w twojej sytuacji pospiech nie jest wskazany. Bierz bardziej pod uwagę rady przyjaciół, a zwłaszcza ludzi starszych, o większym doświadczeniu życiowym.

BYK
19 IV — 20 V

Udało ci się, ale czy zawsze będziesz miał(a) takie szczęście? Ryzyko jest dobre, ma jednak swoje granice. Zawsze należy się zastanawiać, czy więcej można zyskać czy starac się w razie niepowodzenia. Pamiętaj pod jakim znakiem jesteś urodzony(a). Co będzie, gdy ktoś bardzo mocno zechce wziąć „Byka” za rog?

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Niepotrzebnie się motasz, trzeba nareszcie skończyć z tym rozdarcie i na coś się zdecydować. Zyczeń między ludźmi, których ta sytuacja zaczyna już niekiedy poważnie dęczyć. Przeciaganie struny może ugodzić przede wszystkim w ciebie, kiedy struna pęknie. Wszystko w twoich rękach. Przynajmniej w tej chwili.

RAK
21 VI — 22 VII

Co dalej? Sam tego nie wiesz, a inni również nie znajdują teraz dobrej rady. Są zrażeni tym, że przedtem nie chciałeś(aś) z nich korzystać. Jesteś więc skazany(a) wyłącznie na siebie. Najgorzej, że twoje bardzo osobiste kłopoty odbijają się na twojej pracy. Mogą wyznaczyć nowe komplikacje, których się jeszcze nie spodziewasz.

LEW
23 VII — 22 VIII

Ostatnio możesz być z siebie zadowolony(a), ale nie okazuj tego tak publicznie, bo się wszystkim narazisz. W dalszym ciągu szanuj zdrowie i panuj nad swymi nerwami. Nowa znajomość nieco zmieni twoje życie, ale wpadnie w pewne tarapaty. Finał powinien być jednak pomysł-

PANNA
23 VIII — 22 IX

Ten wyjazd bardzo jest ci potrzebny. Nie walcz jednak o to, aby zawsze twoje było na wierzchu. Twoje doświadczenia są bardzo jednostronne. Apodyktyczność nie ułatwia ci życia, a wieczne malkontentstwo też nie sprzyja domowej harmonii. Czas wyciągnąć wnioski dotychczasowego postępowania.

WAGA
23 IX — 22 X

Dodatkowa praca, niezupełnie zgodna z twoimi zawodowymi problemami, może ci przynieść wiele zadowolenia, jeżeli potraktujesz ją serio, a nie jako chałturę. W postępowaniu z ludźmi — odnosi się to zwłaszcza do tych osób spod znaku „Wagi”, które piastują kierownicze stano wisko — należy zachować więcej taktu. Ostatecznie każdy ma swoje zdanie. Jeśli uważasz, że nieluzne, trzeba o tym przekonywać. Krzykiem wiele nie działasz i swego autorytetu nie podniesiesz.

SKORPION
23 X — 21 XI

Władziwie wszystko układa się pomyślnie, co często jest wynikiem zwykłego szczęścia. Gdyby nie twój upór, miałbyś(a) w życiu więcej przyjaciół. W gruncie rzeczy nie zależy ci jednak na nich. Ale czy twoje życie nie jest zbyt monotonne?

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Los dalej uśmiecha się do ciebie, ale na horyzoncie pojawiają się drobne chmury. Tylko od ciebie zależy, czy potrafisz zażegnać niebezpieczeństwo i uprzędlisz działania tych, którzy — jak to się popularnie mówi — usiłują ci podstawić stołek. Nie podnosisz swoich kwalifikacji zawodowych, uważając, że już niczego więcej nie możesz się nauczyć. A przecież życie nie stoi w miejscu.

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

Problemy, problemy... Teraz dopiero widzisz, co stało się twoim udziałem. Znalazłeś(aś) się w samym gąszczu spraw. Na razie ci to jeszcze imponuje, ale chwilami zaczynasz się bać, czy wszystkiemu poddasz. Poddaż, jeśli będziesz postępować zdecydowanie i dalej zachowasz swoje usposobienie. Dobrze, że jesteś optymistą.

WODNIK
21 I — 18 II

Zastanów się, czy ostatnio nie nadużywałeś nieco alkoholu? I czy to jedyne lekarstwo na twoje kłopoty, zawodowe i domowe? Musisz wykazać więcej zdecydowania. Przede wszystkim miej własne zdanie i czasami próbuj się przeciwstawić tym, którzy usiłują ci radzić. Nie są to wady najlepsze.

RYBY
19 II — 20 III

Kłopoty osób spod znaku „Ryb” skończy się wkrótce, należy być jednak bardziej konsekwentnym w postępowaniu. Niektórym „Rybom” wydaje się, że ciążą sa dziećmi i ktoś może za nie decydować. Niestety, lata lecia i swoje sprawy trzeba wziąć we własne ręce i umiętnie nimi pokierować. Głowa do góry!

Stella

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Po Zygmuncie Krasińskim, oprócz pomniejszych utworów polskich, pisanych w różnych epokach życia, a drukujących się obecnie kiedyś niekiedy w tu-tejszej „Kronice Rodzinnej” i w niektórych pismach galicyjskich, pozostały prace młodociane w języku francuskim i angielskim współczesne „Grobowi Rodziny Reichstälów”, drukowanemu przez Dmochowskiego w Warszawie w r. 1828. Rękopisma tych utworów, na których prawie nieświadomie ostrzyło się pióro przyszłego autora „Nieboskiej” i „Trydiona”, znajdują się w posiadaniu córki wielkiego poety, hrabiny Raczyńskiej. Jeden z rękopisów jest powieścią pisaną w 18-m roku życia po francusku, widocznie pod wrażeniem fantastycznych powieści Hoffmanna, nie będącą bynajmniej naśladowaniem, owszem zupełnie oryginalną w pomysłach i wykonaniu. Na utworach pisanych po angielsku, odbija się wiek młodzieńczy i niedoświadczenia autora, ale przytem taka w nich świeżość myśli i uczucia, że zdają się być związane kwiatów alpejskich, skromnej barwy, wątłej budowy, ale niezrównanego uroku i woni. Utwory te, jak się dowiadujemy, przełożone będą na język polski i zamieszczone w „Kronice Rodzinnej”. Tym sposobem co z ducha i serca należy do literatury polskiej, a z formy było obecne, stanie się niepodzieloną tej literatury własnością.

Kamień brukowiec jest taki drogi obecnie w Lublinie, że zrobiona próba wykazała wyższą cenę sześciennego sążnia kamienia do takiegoż sążnia zwycajnego chleba.

Przysłowie „kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem”, wobec tej próby staje się nie już zasadą uczuć ludzkich... ale korzystną spekulacją.

„KURIER LUBELSKI”

PRZED 50 LATY

Człowiek ze strumim żołądkiem: Niezwykłej operacji dokonano w tych dniach w klinice Unitas w Łodzi. Zgłosił się tam mianowicie pewien polejant, skarżący się na ból w żołądku. Wobec tego poddano go prześwietleniu promieniami Rentgena, które wykazały obecność jakiegoś obcego ciała stałego w żołądku pacjenta. Przystąpiono do operacji, która trwała trzy godziny. Kolej- no z pakownego żołądka pacjenta wy-

ciągnięto 46 gwoździ; niektóre z nich były długości 10-centymetrowej. Wyjęto następnie kilkanaście haków, kawałek brzytwy, 4 wielkie igły i jedną szpilkę. Ważyło to wszystko 700 gramów. Operacja udała się i konsument żelastwa ma się dobrze. Oświadczył on lekarzowi, że wydobyte przedmioty lykał... na drobne żony.

„ZIEMIA LUBELSKA”

Chrzest nowych gatunków georginii. Dn. 6 b.m. odbędzie się w małej sali Rady Miejskiej posiedzenie T-wa Ogrodniczego. Na posiedzeniu odbędzie się pokaz georginii i nadawanie imion gatunkom nowym dotychczas nieznanym. Panowie ogrodnicy i właściciele ogródków hodujący georginie proszeni są o przyniesienie egzemplarzy próbnych na zebranie.

Z wydawnictw m. in.: Szkice, wyrażenia i rozmyślenia, składające się na tom „Pejzazy sentymentalnych” Jarosława Iwaszkiewicza cechuje wielka powaga i wielka oryginalność. Nie ma w nich nic z szablonu, nic z płytkiego pospolitego dążenia do efektu, nic z napuszoności, dźwięczącej na wysokich szczytach nikle wątle kształty. (Nakład Gebethnera i Wolffa).

Przy robotach kanalizacyjnych na ul. Grodzkiej pomiędzy domami nr nr 1 i 2 w zeszy piątek, na głębokości do trzech lokel odkopano kilka drewnianych rur, które niewątpliwie są pozostałością po wodociągach z przed 391 lat. Tkwiący w jednej rurze tok zwany buks żelazny przekonywa, że rury spajano takowymi buksami. Są to pozostałości wodociągów, zbudowanych za czasów króla Zygmunta I-go, na mocy przywileju wydanego przez niego dnia 21 kwietnia 1535 r. Woda rurami sprowadzana była z Bystrzycy przepływającej przez grunt miejski, (...) W roku 1602 i 1639 wodociągi dawały miastu 200 złp. dochodu. W drugiej połowie wieku XVII popsute wskutek wojen i upadku Lublina już odbudowane nie były.

„GŁOS LUBELSKI”

Wybrała Zofia Luchowska

Kamena str. 13

Kultura 1976

FILM

W chwili, gdy piszemy te słowa, w Gdańsku trwa jeszcze III Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, zrealizowanych dla kin i telewizji w ciągu ostatniego roku. Z 30 filmów 8 będzie miało swoje prapremiery. O wszystkich twórcy dyskutują i odbiorcami, przede wszystkim zalogami miejscowych stacji, portów i przedsiębiorstw. Wśród po kazywanych filmów dominuje tematyka współczesna — adaptacje literackie i tematyka wojenna są reprezentowane dość skromnie. Co na to widzowie? Wydaje się, że będą za tematyką współczesną, tylko czy podobać się im będą różne uduziwienia i wydziwiania, których nasi twórcy filmowi wciąż nie mogą się pozbyć? Zwłaszcza że mogą skonfrontować nasz dorobek z filmami krajów, leżących nad Morzem Bałtyckim.

Za sobą mamy już prapremierę najnowszych filmów Andrzeja Wajdy — „Smuga cienia”, opartą na opowiadaniu Josepha Conrada. Wajda powiedział, że „Smuga cienia” jest opowiadaniem o odpowiedzialności, którą kładzie na barki bohatera władza w jaką wyposażyli go dyplom kapłana. Wielu ludzi, z właszcza młodych, pragnie władzy, nie zdając sobie sprawy z tego, że władza to przede wszystkim ogrom odpowiedzialności i związana z tym udręka. Zachwycił mnie u Conrada ta pozorna nieefektywność zakończenia: po prostu przypłynął, przyprowadził statek do portu i nie ma tu żadnego powodu do dumy, ponieważ to był jego obowiązek.

Reżyser radziecki W. Ordyński już pięć lat pracuje, a będzie pracował jeszcze rok nad ekranizacją telewizyjną powieści Aleksandra Tołstoja „Droga przez mekkę”. Serial obejmuje 13 półgodzinnych odcinków, wystąpi w nim 500 aktorów. Scenariusz nie trzyma się chronologii akcji powieściowej, ponadto pewne epizody powtarzają się dwukrotnie, ale widzianca oczyma dwóch różnych osób.

Natomiast reżyser włoski Tinto Brass realizuje supergiganta historycznego o Kaliguli, władcy

Rzymu z I wieku naszej ery. Ma to być studium władzy i jej upadku — gdy postępowy początkowo cesarz doznał zawrotu głowy od władzy i stał się zwyrodniałcem.

KONKURS

170 tys. zł na nagrody przeznaczono w konkursie literackim na powieść, opowiadanie, reportaż i cykl reportaży lub wspomnień pod hasłem „Polsko-radzieckie braterstwo pracy”. Ogłoszony został przez Zarząd Główny TPPR, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Zarząd Główny ZLP oraz CRZZ z okazji zbliżającej się 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Prace objętości co najmniej 6 arkuszy autorskich (około 120 stron maszynopisu) należy nadsyłać w 3 egzemplarzach do Wydawnictwa „Książka i Wiedza” 00-375 Warszawa, ul. Smolna 13 z dopiskiem „Konkurs” do dnia 31 grudnia 1977 r. Ogłoszenie wyników nastąpi 22 lipca 1978 r. Nagrody: I — 35 tys. zł, dwie II — po 25 tys. zł, trzy III — po 15 tys. zł i pięć wyróżnień po 8 tys. zł.

LITERATURA

Jubileusz będzie skromny, właściwie nawet takich jubileuszy oficjalnie się nie obchodzi, a jednak o tej imprezie trzeba napisać szczególnie ciepło. Od 20 do 24 września trwać będzie w stolicy i kilku innych miastach, nawet w Puławach, V Warszawską Jesień Poezji. Do udziału zaproszono 140 poetów i krytyków literackich z Polski oraz kilkunastu innych krajów. Inauguracja tradycyjnie w Starej Prochowni, która dzięki Wojciechowi Siemionowi stała się jednym z ważniejszych ośrodków kulturalnych. Odbędzie się ponad 50 wieczorów poetyckich, w pięknych salach i skromnych świetlicach, ponadto rozmowy pomiędzy samymi twórcami na temat osiągnięć i kierunków dalszego rozwoju poezji. W Muzeum Literatury — wystawa poświęcona Słowackiemu, a w bibliotece przy ul. Koszykowej „Warszawa w oczach poetów cudzoziemców”.

Tę statystykę czyta się z niejakim zażenowaniem. Chodziło

o to, ile złotych rocznie wydaje na książki mieszkaniec poszczególnych województw. Okazuje się, że najmniej w zamojskim — zaledwie 41 złotych, to znaczy 11 groszy dziennie. Natomiast w woj. białkopodlaskim 43 zł miesięcznie. Oba wśród wszystkich województw zajmują ostatnie miejsce. Dodajmy, że w te zakupy wliczone są już książki szkolne, a więc wydatki w trzeciej części są jakby przymusowe.

O Warszawie napisano już bardzo wiele książek, ale okazuje się, że nasza stolica nie posiada obszernej, wyczerpującej książki o swoich bardzo ciekawych i nieraz skomplikowanych dziejach. Państwowe Wydawnictwo Naukowe wkrótce znacznie wypełniającą lukę, publikując szóstotomową pracę pt. „Dzieje Warszawy”. Pierwszy tom piera prof. Stefana Kieniewicza ukaże się w najbliższych dniach, a przedstawi życie społeczne, polityczne, gospodarcze i literacko-artystyczne stolicy w latach 1795—1914. Będzie to trzeci tom cyklu. Szkoda tylko, że nasz wydawca dość często nie może się zdobyć na to, aby poszczególne tomy cyklu drukować w odpowiedniej kolejności.

MUZYKA

18 września rozpocznie się trwająca tydzień „Warszawska Jesień” — XX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej. Jak i poprzednie, wywoła zapewne bardzo różne oceny — jedni będą się zachwycali, drudzy potępiali. Koncerty obejmą 78 kompozycji, w tym 27 polskich. Obok artystów polskich zapowiedzieli udział muzyki i soliści z ZSRR, Czechosłowacji, RFN, Włoch, Holandii, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, Japonii itd. Pierwszy koncert rozpocznie się „Bogurodzicą” Wojciecha Kilara. Po raz pierwszy w Polsce usłyszymy operę Dymitra Szostakowicza „Nos”.

W Operze Poznańskiej, co zbył krótko pokazała Telewizja dyrygował „Traviatą” włoski dyrygent Enrico de Mori, od wielu lat związany z mediolańską operą La Scala. Jak twierdzi on, orkiestra poznańskiej opery tak doskonale zagrała „po włosku”, że z upoważnienia naczelnego dyrektora La Scall zakontaktował ją na okres, gdy tamtejsza orkiestra będzie koncertowała w USA. Ustalono także, że w przyszłym roku w Poznaniu wystąpią soliści i inni artyści włoscy. Zdaniem dyrygenta nie są to i nie będą występy gościnne, ale swego rodzaju „koopracja artystyczna”.

Aż trudno uwierzyć, ale faktem jest, że w Stanach Zjednoczonych istnieje tylko jeden zes-

pół baletowy złożony z samych Murzynów. Po prostu dlatego, że ani władze stanowe ani federalne nie chcą przyznać „czarnym” żadnych dotacji ani innych ulg. Zespół liczy 29 osób o przeciętnym wieku 19 lat, a istniejącą przy nim szkoła baletowa kształci 200 adeptów. Obiektywni krytycy podkreślają, że płynność ruchowa Murzynów predysponuje ich do tańca improwizowanego, opartego na jazzie.

Tancerka angielska Margot Fonteyn ma już 57 lat, a występuje 40. Ostatnio odniosła wielki triumf w Nowym Jorku, występując w balecie „Wesołej wdówki”. Recenzje bez wyjątku były entuzjastyczne. Artystka już kilkakrotnie zapowiadała wycofanie się z czynnej kariery, ale nic dziwnego, że nie może się na to zdecydować.

OPINIE

Nowy statut ZPAP i rezygnacja z automatycznego przyjmowania do związku na podstawie dyplomu, powinny być należałoby sądzić, zmobilizować młodych do pracy twórczej i organizowania wystaw (...). W samym statucie, a przede wszystkim w działaniach ZPAP, jest jakaś luka, która powoduje, że nie potrafiono wytworzyć dopingującej atmosfery pracy twórczej (...). Brak aktywności twórczej, lekceważenie walorów kunsztu technicznego, tworzenie nijakich dzieł — to wprawdzie nie tylko specjalność młodych. Skoro jednak mówimy o młodych, to dlaczego zaraz po studiach chcą oni przejść na emeryturę (Marcell Baccarelli — „Trybuna Ludu” nr 214).

W grupach poetyckich młodych „manifestują się przede wszystkim instynkty (i talenty) przywódcze ich liderów. Składy grupy są zmiennymi (dość porównać kolejne almanachy), poetyki różnie, członkowie grupy łączą jedynie podporządkowanie się liderowi. I — deklarowana — wierność programowi, który głosi. Na dobrą sprawę — tylko jego upór cementuje twór, którego jedyną poza tym zaspójnią jest wspólnota interesów. Nie lekceważmy tego ostatniego czynnika. W momencie startu wspólnota sytuacji jednakowo mniej więcej dorobek, brak kontaktów z rynkiem literackim stanowi jeden z motywów skupienia się w grupie. Program z reguły jest tworem późniejszym, gdy go zabraknie, gdy jedyną zaspójnią jest wspólnota interesów grupa rozpada się szybko”. (Andrzej K. Waśkiewicz — „Nadodrże” nr 18).

Pokolenia wychowane na Pogranicznym, Waschee i rubryce

„Metronom” w „Sztandarze Młodych” o muzyce wie niewiele, nawet jeżeli chce wiedzieć. Nie rozpieszcza ich ani naukową edukacją w szkole, ani raźnym rynek wydawniczy i płytowy. W szkołach nie bardzo komu jest uczyć: aby zaspójnić potrzeby wszystkich „dziesięciolatek”, brakuje ok. 5 tys. nauczycieli, siódem istniejących w kraju wyższych uczelni muzycznych może wykształcić ich co roku nie więcej niż 150” (Witold Pawłowski — „ITD” nr 36).

WYZNANIA

„Cukier krzepi — bezwzględnie najszkodliwsze zdanie, jakie kiedykolwiek wymyślił pasażer polski. Bywam ironistą, ale to pasażerem całkiem serio. Spytaj się pierwszego lepszego lekarza (tylko niech to będzie lekarz, nie konował), a powie wam, że cukier trzeba jeść jak najmniej. Kto nie wierzy lekarzom, niech sobie przypomni, co o cukrze pisał Klimuszek. Oczywiście: kolton rzucił się na mnie za ot, co tu pasaż (huzia na Józia). Przekrzyłem koltona niejednemu, przekrzyję i tego”. (HAM-HAM-HAMILTON — „Kultura” nr 36).

Prowadziliśmy niedługo z Wojtkiem Siemionem seminarium dla nauczycieli, chodziło oczywiście o poezję współczesną. Nie chcąc obrazić znacznych pedagogów od języka polskiego, ale trwoga do dzisiaj ścisła mi serce. Znajomość przedmiotu prawie żadna, wrażliwość gorsza niż u młodzieży. Dla naszych słuchaczy poezja stała się abrakadabramą od czasu Młodej Polski, chociaż z tymi rzekomo zromantyzowanymi poetami jak Kochanowski, Sep-Sarzyński, Morsztyn też się blufuje. To przykre, ale nasi szeregowi pedagodzy nie mają ani czasu, ani ochoty, by czytać. A bez stałej lektury ten sam ambaras, co z nauczycielami śpiewu, którzy oglądali Teatr Wielki tylko na wycieczce, i to głównie od strony marmurów i kandelabrow. Boję się wspominać o Diharmonii. (Stanisław Grochowiak — „Poezja” nr 8).

TEATR

Już zanosiło się na to, że w przyszłym roku sezon Teatru Narodowego odbędzie się we Francji — wprawdzie nie w Paryżu, ale w Awinionie. Wniosek w tej sprawie wysunął ITI, poparł go mer Avinionu, także sekretarz stanu do spraw kultury Michel Guy, ale minister finansów odmówił jakiegokolwiek poparcia i projekt upadł. W tej sytuacji w ogóle nie wiadomo, czy ta tradycyjna i bardzo potrzebna impreza się odbędzie.

W 34 n-rze „ITD” ukazał się list, który reprodukuje.

PLACZ W „OGRODZIE”

Jesteśmy z Lublina. Nasza literacka grupa „Ogród” istnieje od września 1974 roku. Jest programowo pominięta w obu studenckich dodatkach: do „Sztandaru Ludu” i „Kuriera Lubelskiego”, czyli w „Magazynie Młodych” i „Konfrontacjach”. Jedyne dwa artykuły o grupie, jakie pojawiły się w „Kurierze” (marzec i grudzień 1975), wpakowano między buraki cukrowe i trudności ze szklawicą. Oba zresztą były wielką pomysłką i nie dotknęły nawet spraw, o jakie nam chodzi — mając zaintrygować czytelników, doszukiwały się skandalu i cwaniactwa.

„Ogród” jest grupą ciągle eksperymentującą — tak w sensie działań, jak i składu osobowego. Z pierwszego składu zostali tylko Józefczak i Lele-Przychodzki. Każdy wieczór jest zaskoczeniem dla publiczności: dróg rozwoju jest wiele, a nie chcemy zbyt wczesnie się określać (oczywiście, chodzi o to, by nas nie określono; sami powinniśmy tego dokonać). Klika redagująca „Konfrontacje” nie dopuszcza tekstów spoza swego kręgu Błędne koło.

Panowie z „Kameny” — szczególnie naczelny — czekają, jak twierdzą, na nasze sukcesy poza Lublinem — a w tej sytuacji mogą przecież poczekać jeszcze 100 lat i nic. Członkowie grupy są już (a może nareszcie) ostro podenerwowani milczeniem, które wykończyć może każdego, nie tylko dwudziestoparoletnich poetów. Jednym z argumentów naszych przeciwników jest to, że nie wygraliśmy żadnego konkursu — a nam zależy na robocie wśród ludzi, nie na wygrywaniu. Brakuje zupełnie reklamy naszych pocynań; Komisja Kultury SZSP w Lublinie, nasz patron, zupełnie się o to nie troszczy.

Wyjazdy do pozalubelskich klubów są dla nas najlepszym sprawdzianem i konfrontacją dorobku. Kto nas jednak zaprosi, jeżeli nikt o nas nie wie? Dotyczy to zresztą całego ruchu studenckiego w Lublinie, dobrze się zapowiadającego, ale kłującego we własnym sosie, aż do obłędu.

Grupa „Ogród”
Sławomir Dymek, Grzegorz Józefczak,
Marek Pietrzela, Lech Lele-Przychodzki,
Andrzej Wasielewski-Polonia

Placz siedmiu wznosił nas do gębi. Nie mniej chcieliśmy zauważyć, że grupa „Ogród” ma krótką pamięć: już raz prezentowaliśmy ją w „Kamenie”. Teraz czynimy to ponownie: jeśli grupie rzeczywiście tak „zależy na robocie wśród ludzi...” A co na to sami ludzie?

Kamena str. 14

OGRÓD

Lech Lele-Przychodzki

Marek Pietrzela

TEMAT DO BLUESA I COŚ WIĘCEJ

to jest blues malej stacji kolejowej
przed następną podróżą
to jest blues oczekiwania
na jeszcze jeden pociąg
do innej malej stacji
z czterech stron ciemności
wszystko o czym myślę blues
to noc nad drzewami
kolejarze w zablokowanych butach
i ktoś kto śpi w brudnej poczekalni
z gazetą pod głową
jeśli nie znasz jeszcze dworców o północy
gdzie strażą tablice ogłoszeń
wysiądź kiedyś z pociągu
w polowie drogi
choć raz ty bądź facetem w poczekalni
z gazetą zamiast poduszki
to będzie temat na bluesa
i coś więcej
może nawet na wszystko potem
na inne stacje o północy
z sennymi semaforami podróżnych
w drzwiach innych
czterech stron ciemności

Mirosław Mula

ODKRYCIE KAMIENI

Siedzący starzec na
popękany kamieniu
wspólnie z nim stanowią
o swoim bycie. Wykształcony z
chętnego bagna gardel
uzewnętrznili swoimi funkcjami
ludzkie niemożliwości
rozpisane na zasługi i karę.
W miejscu degradowania
człowieka z treści
przezroczystym śmiechem
chichotały urastające do
rangi ludzi parafialne świece.

znaleźć odkryć czas
znaleźć czas
odkryć czas
czas czas
ON który między wiekami
wbity w oczy
szantażuje i knebluje usta
czas zaglądnący nam w oczy
nam wirującej rzeczywistości

ANTYPOWIADANIE

Bardzo groźne. Nie kupuj. Uwaga straszne opowiadanie. Należy nie podawać młodzieży do lat 19. Osoby wrażliwe — proszę zadzwonić — Reanimacja tel. 20-035. Skoroś słaby nie bierz tego w rękę — to cię może zabić. Kobiety raczej nie wskazane są przy tym. Proszę rozejść się. A! A! A! A! jeden dwa trzy. Stary niedźwiedź mocno śpi. Myślę go boimy cichutko chodzimy, bo tu świeży trup. Trup przenosi się z szybkością 800 milionów bilionów km/s. Trup jest u nas gdy tylko siedzimy. Szorstki kamień przesuwają się po moich piersiach. Uwaga! Sekcja zwłok wykazała resztki mięsa ludzkiego, czyli też zwłok w treści żołądka ofiary. Strach siedzi pod paznokciami każdego z nas. Achtung!

Ręce do góry. Oddaj kryminal.

Na tej stronie
postawimy wiersz
tataj będzie żal
jeszcze nie wiem
dlaczego i po czym,
a tu
mimo wszystko
się uśmiechamy
mogło być gorzej
może kogoś tam
spotkamy
ale po co
a tutaj będzie nasz
podpis



OGRÓD

POCZTA LITERACKA

L. S. Lublin. Przysłał Pan dwa aforyzmy. Jeśli uwzględnimy, że nie wszystko się udaje, co mamy wydrukować?

J. K. Korzeniec. Owszem, zastanawiają pańskie zadumania nad miłością, nad życiem, nad poezją. Nie chciałbym tu dorzucić żadnych uwag, bo się gotów pan zasugerować, i stracić własny ton, który wynika z milczenia, z przebywania z samym sobą. Ale możemy mówić o tym jak o rzeczy stojącej się, nie jak o dokonanej. Dlatego proszę pozwolić mi nie odpowiedzieć, a tylko oczekiwać w jakie formy się ta refleksyjność rozwinie.

J. S. Konis. Tu by właściwie był powód do ogromnego sporu: co to jest literatura, poezja, twórczość. Czy są sytuacje, wobec których kryteria literackie tracą znaczenie. Bo przecież mówimy „literackość” i rozumiemy przez to papierowość, zdawkowość, zakłamanie. Bo przecież chodzi nie o zrzędną zonglerkę, lecz o związek z życiem. Śmierć dziecka, autentyczna śmierć dziecka — oto temat pańskich wierszy. Czy mam w obliczu tej śmierci rozważać funkcjonalność słów. Czy mam je bez zastrzeżeń akceptować? Pochęcam się, że z tą niewiedzą jestem w sytuacji najgorszych. Ale chyba i Pan nie powie, że rozstrzygnął ten problem skoro przysłał ten wiersz.

„Lima Bej”. Zapewniłem Pana, że rozumiem te nastroje. Ten strumyk, ta jesiń. Tylko coś, wiersz to nie gadu gadu na temat wspólnych upodobań, ale wypowiedź mająca wprowadzić nowy stan w świadomość czytelnika. Sformułowaniami typu „bystro płynie rwący strumyk” nie osiągnie Pan tego za diabła. Nie to nie mów. Kto nie wie, że strumyk płynie, a nie frunie? I że „bystro”, skoro „rwący”? Ma pan 22 lata. W pańskim wieku piszący wiersze na ogół mają skłonność do dziwacznych nowocześnieści, a nie powtarzać oklepane wersy ubiegłej epoki.

B. S. Gliwice. Temat olimpijski wbrew pozorom jest bardzo wyrotynny. Co bowiem wiersz musi zawierać? Pochwałę sprawności, apologię wysiłku, hymn zwycięstwa. Jakimiż zaletami stylu i formy musi wynagrodzić te myśli szlachetne w intencji, ale jakże nieodkrywcze intelektualnie! Trudno jest pisać o sporcie, by z tego nie wyszła banalna pochwała krzepy, rymowanika na „rach ciach i twardo”. Dowodzi tego pański wiersz „Na start!” napisany w roku 1960. Nawet wdzięczny jestem za tę przypadkową retrospekcję.

B. T. Lublin. Owszem, jakieś nastroje poetycki z tych tekstów czytelnikowi się udziela. Ale nie bez tego, że ten sam czytelnik buntuje się przeciw zdawkowości niektórych określeń. Zbyt często wiersz popada w liryzowanie najłatwiejszego gatunku, bo mające coś z szepotu wyznania, z poetyki wypracowania szkolnego, z wpisu do pamiętnika. Zbiór intymnostek — tak mógłbym nazwać ów plikzek rekonesansów. Wiem, że w Pańskim wieku inaczej się nie pisze, dlatego nie traktuję tych słów dyskwalifikująco.

Z. J. Gliwice. Właśnie. Podziwu godna jest solidarność kobiet we wspólnym froncie przeciw mężczyznom. Nie przewidział tego młody Henryk. Ale przypuszczam, że Hildzie na nim tak bardzo nie zależało. Co Pan na to jako autor?

Lucyna S. Warszawa. Zraża mnie to pomieszczenie konwencji. Bo oprócz twórców metaforycznych wystraszonych czasem nawet przesadnych (jak np. całkowicie niezrozumiałe wiersz poświęcone Gajcemu) rytynka banalna, poetka sztuczka („Deszcz! Deszcz! Woda!”), od czasu do czasu całkiem bez uzasadnienia zdarzający się rym. Nie chce Pańskie zdawkowo pocieszać. Co najwyżej nie mam zdania.

J. S. Lublin. Nie mogę odczytać. Proszę o wyraźniejszy rękopis.

S. T. Pszczela Wola. Mam wrażenie, że Pan nie ma t.zw. filozofii własnej twórczości. To znaczy wiedzy o tym, co chciałby Pan czytelnikowi przekazać. Błądził Pan po doznaniach, spostrzeżeniach. Przez to większość utworów to ciasto składające się z jednego atomu, organicznej jednokomórkowej. Owszem, bywa poezja w jednym zdaniu. Ale zdaniu jakże naelektryzowanym, jakże zabójczym w treści. Pan z westchnieniem ulgi składa tobolek trudu w przyspieszonej pójście.

G. P. Sandomierz. Za bardzo Pan uwielżył współczesności. Ta maniera niemożności, beznadziejności ohydy. To się skończy, bo nie ma podbudowy intelektualnej. Jest plagiatem. Powszechnym plagiatem w warunkach, w których nie wiadomo kto jest tym pierwszym. Przypuszczalnie nikt. Jak nikt określony nie jest autorem politycznego kawalu. Współczesność wytwarza stresy — te i niech ją za to heho, ale to nie znaczy, że ten stan należy honorować robiąc z siebie ofiarę życia. Właśnie w twórczości nie akceptować antyindustrialnych wynaturzeń. Na tym zawsze polegała godność pisarska i kiedy ona się skończy, skończy się literatura. W czym nie ma ani odrobiny prorocstwa, ostatnie zdanie jest tautologią.

P. C. Lublin. Tak, ma Pan rację. Rozluzowano wszystkie rygory po to, by było szarzej, pospoliej, monotonię. Uznając, że wiersz to jest wierszem wybitnym ma w sobie wszelkie cechy towarzyskiego konwensansu. Ale ja osobliwie się tym nie martwię. Uznając że za stan przejściowy. Inna rzecz, że nie wiem do czego. Albo do zwycięskiego wyjścia z niu bylekości, albo do całkowitego zaniku poezji. Z tym, że poetów w dalszym ciągu może być legion.

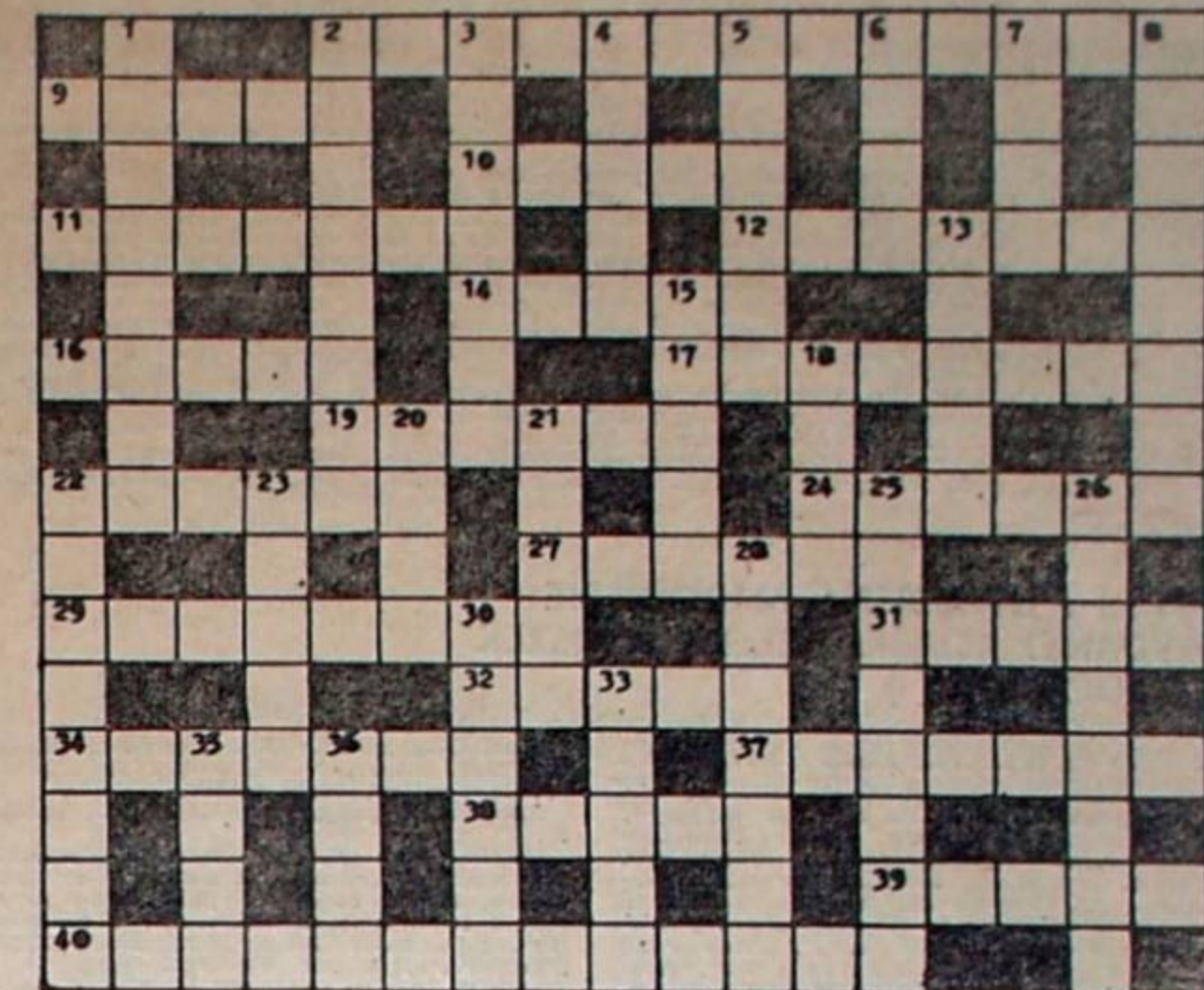
R. O. Rudna Mała, J. K. Cielbice, R. G. Łódź (zw. przykłady), E.F.C. Izbiła — nie skorzystał.

KRZYŻÓWKA (nr 19)

Poziomo: 2. pisarz i publicysta uważany za ideologa pozytywizmu polskiego, 9. polski taniec narodowy, 10. królowa rzek polskich, 11. zamienia wiersz w pieśń, 12. miasto wojewódzkie, 14. tyto, pszenica, jęczmień, owies, 16. słynny tenor włoski (zm. w 1957 r.), 17. do niej adresował „Treny” Jan Kochanowski, 19. uzdrowisko włoskie o którym wspomina Boy w „Słówkach”, 22. nakrycie głowy, 24. precyzyjne narzędzie, 27. przełęcz na Bałkanach, miejsce zwycięstwa Rosjan nad Turkami, 29. założyciel dynastii sabaudzkiej panującej w zjednoczonych Włoszech, 31. język ludowy, 32. twórca naukowego socjalizmu, 34. park między Nieborowem i Łowiczem, 37. najwybitniejszy przedstawiciel humanistycznej poezji łacińskiej w Polsce, 38. imię żeńskie, 39. narodowość, naród, 40. autor „Zyciorysu własnego robotnika”.

Pionowo: 1. wybitna polska skrzypaczka i kompozytorka (zm. 1959), 2. ani dobry ani zły, 3. najazd, napad, 4. włoski poeta późnego renesansu, autor „Jerozolimy wyzwolonej”, 5. błękitny chwast zbożowy, 6. kręca się na nich kosa, 7. przyzma, usypisko, 8. człowiek o malej wiedzy, nieuk, 11. ukochana Filona, 15. oddziały piechoty francuskiej utworzone w 1831 r. w Algierii, 18. jeden ze zmysłów, 20. stolica Azerbejdżańskiej SRR, 21. spokój dla słuchu, 22. radecki bohater wojny tytułowej postaci znanego filmu, 23. miasto we Włoszech z uniwersytetem założonym w 1222 r., 25. najsynniejszy skrzypek w historii muzyki, 26. urozaicenie, niespodzianka, 28. jednoosobowa gra w karty, 30. tuszeczka wierzchołka lub gęsi, 33. środek łączności, 35. oczyszczona, państwo, 36. słynny hiszpański malarz — surrealista.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru.



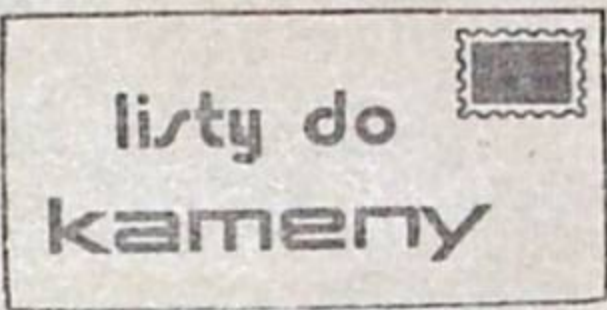
meru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy książkę.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 17: Poziomo: podpis, ochra, tario, mikroskop, Rytro, rzecz, Slonimski, senat, Rila, sport, kłoc, Akra, szyk, Eden, Sorel, okno, kasta, dominacja, nosze, Nenni, Jeremiada, dotyk, Oskar, Kamena.

Pionowo: starosta, tryton, pomost, Parandowski, Capri, Różewicz, skos, uszka, ma-

terializm, kłokol, Amado, Rosja, Sinko, renesans, Krasicki, Kanada, sonata, Dejna, Mars.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr. 17 bony książkowe po 40 zł. każdy wylosowali: Tadeusz Jarząbski 15-395 Białystok, ul. Czarna 8, Halina Jaworska 20-609 Lublin, ul. Pana Tadeusza 12 m. 63, Włodzimierz Kalenik 21-300 Radzyń Podlaski, ul. Warszawska 64, Adam Malodobry 22-400 Zamość, ul. Robotnicza 4.



KŁOPOTY Z NAJPIĘKNIEJSZĄ

Pospieszne wydawanie decyzji spowodowało — stwierdza J. Dostatni w artykule „Kłopoty z najpiękniejszą” w nr. „Kamery” — że mieszkańcy tego samego typu, budowane w osiedlu Czechów, będą w sposób istotny różniły się metrażem, 9-10 m kwadratowej różnicy w lokalu M-4 to właśnie dodatkowy mały pokój, łatwiej więc sobie wyobrazić, że ludzie będą stać na głowie, aby uzyskać te większe lokale, budowane według nowej technologii i nowych normatywnów. Wydaje mi się zatem że już teraz władze lubelskiej spółdzielczości mieszkaniowej powinny ustalić jakieś obiektywne i sprawiedliwe kryteria rozdziału mieszkań na Czechowie. Nie jest to sprawa łatwa, więc proszę pamiętać że w ostateczności pozostaje losowanie. Oczywiście, to forma jakby niepoważna, ale...

Jan Wózek
Lublin

REFORMA KOMUNIKACJI?

Cały Lublin dyskutuje o oznakowaniu miejskich ciągów komunikacyjnych (czyt. ulic). Takówkarze kłną decyzję zamknięcia Krakowskiego Przedmieścia dla ruchu kołowego w godz. 17-22, ale pokazna grupa mieszkańców, przede wszystkim dzieci i

lokatorzy budynków stojących obok tej ulicy, chwali sobie takie rozwiązanie, gwarantujące z jednej strony wolny teren do jazdy na wrotkach i do spacerów, z drugiej zaś — spokój. Zamknięcie tej ulicy ubarwiło też — dość chyba nieoczekiwanie — pejzaż obyczajowy Lublina. Oto kawiarnia „Lublinianka” wystawia stoliki na jezdnię, przez co ten fragment miasta nabiera cech południowej egzotyki. Szkoda, że tylko (lub przede wszystkim) ulica tam podają.

Zmuszony rosnącym tłokiem na wąskich ulicach starej części Lublina, Wydział Komunikacji Urzędu Miejskiego przeprowadza różne kombinacje ze znakami drogowymi. Podobnie MPK zmienia topografię przystanków. Wiele z tych decyzji budzi krytykę obywateli cywilnych oraz dziennikarzy z naszych gazet, którzy przy każdej niemal okazji wysuwają kontropropozycje. A ja tymczasem chciałbym zaproponować redaktorom takie rozwiązanie, dotyczące serwisu komunikacyjnego Lublina, które może zniwelować wszystkie problemy. Oto jedziemy Aleją Warszawską, potem Alejami Racławickimi, następnie — nie ma światła! — skręcamy w Lipową, z której wjeżdżamy w ul. Świeciezowskiego — nie ma światła, po co? — tą zaś dojeżdżamy do placu Bychawskiego — jedno światło: zielone — a potem szybko skręcamy w ul. Kunickiego i jedziemy, jedziemy, aż dojeżdżamy do okazyjnego zespołu obiektów w dzielnicy Abramowice, gdzie mieści się pułk szpitalny... Ubrani w zgrabne kaftanki mamy uresztwić świątę spokój z komunikacją w Lublinie.

Marian Jaroszek
Lublin

GDZIE SĄ KORTY?

Fibak spowodował wielkie zainteresowanie tenisem w Polsce. Jeszcze rok temu kupno rakiety nie przedstawiało najmniejszej trudności, dziś trzeba mieć dobre znajomości, aby coś tam spod lady dostać. W otwartych mistrzostwach Lublina, niedawno zakończonych, uczestniczyło kilkudziesięciu zawodników, podczas gdy dwa — trzy la-

ta temu startowało kilkunastu może trochę więcej. Tymczasem, jak w kraju, tak i w Lublinie i województwie brak kortów. Rozumiem, są to inwestycje uciążliwe i kosztowne, ale w końcu co dzisiaj można otrzymać darmo? Korty tenisowe i pływalnia — takie dwa obiekty powinny stanowić podstawowe wyposażenie sportowe każdego dużego osiedla mieszkaniowego. Czy pomysł o tym zarządy LSM „Kolejarza”, „Motoru”? Tymczasem proponuję, aby w planowanym kompleksie sportowym (m.in. duży stadion na kilkadziesiąt tysięcy widzów) w okolicach Kalinowszczyzny uwzględniono budowę całego zespołu kortów — może w liczbie 10. Kto wie, czy dzięki takiej inwestycji nie dochrapalibyśmy się w końcu wysokiego nareście miejsca w jednej z dyscyplin sportowych... Jak dotąd, stać nas tylko na II-ple ligi.

Adam Józwiak
Lublin

ANTOLOGIA POEZJI

Mieszkam co prawda od dawna w Łodzi, ale wszystko co lubelskie jest mi bliżej szczególnie jeśli ma stempel literacki. W ubiegłym roku kupiłem antologię młodej prozy lubelskiej pt. „Na widnokręgu”, lecz nie wiem, czy to ślad za tym wydarzeniem pkaże się np. antologia takiej poezji. Proszę o informację.

Jan Mazurski
Łódź

Od redakcji: Tak, ukaże się — nakładem Wydawnictwa Lubelskiego przypuszczalnie za 4 miesiące.

**PRENUMERUJ
„KAMENĘ”!**

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyk-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny. — do dnia 10 listopada, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 70.— Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 8. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 2247. 2.09.76.

Numer łamali: Mieczysław Psulek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu: 30531

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1976/19

„Z KOBIETĄ JAK Z NAROWISTYM KONIEM...”

POWIEŚĆ tak czytana, że już przed wojną posłała w szezkie ledu uchroniona dla powojennego wznowienia przez Wydawnictwo Literackie. Tak kiepska, a taką równocześnie robiąca furorę, że opadała ręce badaczom literatury i zjawisk społecznym. Powstała z swego ponownego życia mimo przewarższenia tyłu kryteriów gustu i postawy odbiorczej. Co to? Pytanie zaledwie za trzy grosze. Już wczesny wiesz, że chodzi o „Trędowatą” Mniszkówny, klasyczne dzieło grafomanii.

„Ale tu problem. Bo czym innym, jeśli nie dennym rytmoidem o „cnyim młodziku — migdaliu” trafił do historii literatury ksiądz Józef Baka, którym się zresztą na serio zachwycała Maria Jasnorzewska-Pawlikowska? Co innego, jeśli nie pożar świętyni Artemidy w Efezie

spowodował szewe Herostrates, czym weszli do historii powszechnej, podczas gdy, do historii architektury nie weszło tylu anonimowych średniowiecznych budowniczych, którzy stracili nie tylko nazwiska, ale (bywało) oczy często razem z głowami? Po co zresztą daleko szukać. O pomniku Chopina w Warszawie zapisany w powszechnej świadomości choćby przez to, że otwiera program Interwizji, wielu znawców powiada, że jest najbardziej interesującym przykładem kiczu. A zatem?

A zatem „Trędowata” sprawuje nad nami przewrotny rząd dusz. Raz — każąc się dyskryminować za tandetę zawartych w niej środków artystycznych, dwa — zamykając nam usta masą rozchytywanego nakładu. Toż praco-, cza- i cierpliwościochłonne metafory dobrze się

zapowiadającego młodego poety pod pięćdziesiątkę nie osiągnęły tego, by być sprzedawane spod lody. Jak to „przesłane z oddali blade uśmiechy”, „intymne szepoty serca” i „narczysła słów otwierających usta”, podczas gdy „szczęka zwierają się milosnym pożądaniem”.

W każdym razie dwie rzeczy z powodu „Trędowatej” są niezaprzeczone. Pierwszą z nich jest możliwość zerknięcia tego gustu, który formował panoramę naszego czytelnictwa lat temu czterdziści, co w sezonie młody na retro ma pełne uzasadnienie, druga — sposobność do zabawy. I te drugą wybrał nasz czytelnik Marek Dowojna z Krakowa, który przysłał do naszej redakcji na temat powieści Mniszkówny referat naukowy. Oto żart czytelnika:

MYŚLI I UWAGI NA MARGINESIE WYDANEJ KSIĄŻKI HELENY MNISZEK „TRĘDOWATA”

I. POSTAWIENIE ZAGADNIENIA

„Po 35-letniej przerwie ukazało się w r. 1972 pierwsze powojenne, z kolei 17-te wydanie tego przedwojennego bestsellera, książka, nad którą zalewała się łzami niejedna młoda panienska. Książka wyszła w nakładzie 40 000 egzemplarzy, ale momentalnie zniknęła „spod lady”. Dwa razy przed wojną sfilmowano ten utwór. Niektóre kobiety płakały przy oglądaniu filmu.

„Powieść tę — jak pisze Teresa Walas — opowiadała córka, a więc osoba, która dobrze poznała w praktyce co to jest miłość i która na str. 275 napisała, że „miłość jest potęgą kruszącą wszystko”, przeto interesujące jest przestudiować poglądy fachowej Mniszkówny na miłość.

„Tu bawiam — jak pisze Teresa Walas — opowiadanie broni się przed miłością, zmysłowość obijać się bez grzechu, nieśmiałość broni się przed uwiedzeniem i obtaśkaniem, pogądanie zamienia się w miłość.

II. JAK WEDŁUG MNISZKOWNY MĘŻCZYŻNA MA ZDOBYWAĆ KOBIETĘ?

Mówi Jurek Brochwicz: „Waldy naucz mnie, jak to zdobywa się laury u panien?”

Odpowiada Waldemar: „Stuchaj Jurek! Zaczynaj samodzielnie i niebawem dojdiesz do finału, ba! nawet do epilogu. Z kobietą tak jak z narowistym koniem, trzeba umieć obchodzić się. Bo kobieta jest domyślna i na ogół tak łapie wszystko, co się dookoła niej dzieje, jak motyle w siatkę. Prawdziwa kobieta jest przede wszystkim pikantna i w niej bajecznie kojarzy się takt i ognisty temperament. I to właśnie stanowi ów czar, który kobietę otacza jak perfumy”.

Fundamentem miłości jest według Mniszkówny pociąg zmysłowy. Bez pociągu zmysłowego nie ma szaty w miłości i sama miłość za błąd by wyszła. Największym szczęściem w życiu jest: miłość, młodość i rozum. To są oceany, reszta — to wszystko źródła.

Miłość zupełnie platoniczna pomiędzy mężczyzną a kobietą jest taką samą legendą, jak kwiat paproci. Oczekują na jego rozkwit, wierzą, że istnieje, ale w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział. Adam do Ewy także wdychał platonicznie, dopóki mu z zebra nie wyłazła; później zmienili zdanie.

Istnieje tylko pożądanie! Jedyna prawda z nagromadzenia pojedynczych głupstw pod nazwą miłości. Pożądanie jest dominującym uczuciem w miłości. Zbyt wielka cnota była dobra w katakumbach. Dziś zarówno mężczyznom jak i pannom nie jest w niej do twarzy.

Mężczyźni mogą wypowiadać do co czują, iść za popędem serca. Kobieta tego nie

wolno. Gdy kobieta daje odczuć ukochanemu swą miłość, wówczas bez słów mówi: „Jestem twoja, bierz mnie”.

Pocztotym gołębiem miłości jest tęsknota. Miłość jest potęgą kruszącą wszelkie przesady. Gorące uczucia zdolne są iść przebojem, łamać zapory i paść sobie w ramiona z okrzykiem niezmiernego szczęścia. Gorące uczucia łamią wszystkie zapory. L'amour c'est la vie. Miłość to życie.

Jurku! gdy ty spotkasz ukochaną, to jej mów: „Dzieuczyno godna uwielbienia, dzieuczyno nie bądź ze z kamienia, dzieuczyno: mej miłości wierz!”

Pamiętaj Jurku, że mężczyznom trzeba nieustannie podnieć, a gdy będziesz na balu, to także pamiętaj, że bal to jest bitwa i zdobywa ten, kto pierwszy przychodzi!”.

III. JAK WEDŁUG MNISZKOWNY URZECZYWIŚNIAŁ MIŁOŚĆ WALDEMAR?

„Ujął ją silnie, pochylił się i przycisnął do niej gorące usta. Ona zdrętwiała, płomienie uderzyły jej w twarz, w głowie zasumowało wrem. Pocałunek ten palił ją, czuła na sobie oczy Waldemara.

Ogniałała go coraz mocniej ramionami, cisnęła się do niego z palącą siłą pożądania, twarz mu zalewając ognistym oddechem. Piękna była i wspaniale zbudowana. Jej postać gęsta jak koktejl, rozchylona usta drżały. Była jakas senna i zmysłowo pociągająca. Mocno wygorowana sukniada dawała jej ponęt.

Cięzka materia sukni aptynała na dywan, odsłaniając wytwornie przybrane stopy złożone z wdziękiem. Jej pierś jęłowała gorączkowo, po ciele jej przelatowały płomienie. Ona przęła się bliżej Waldemara, poruszając miękkim ciałem jak zaspiana tygrysyca. Jestem Twoja — szepnęła. Patrzył na jej okrągłą figurę, na wypukłą jej pierś i różowe ciato, burzyła mu się krew.

Trzymał ją silnie i doznawał rozkoszy, słysząc bicie jej serca. Gorący oddech dzieuczyny palił go, jej ustopy musnęły mu usta. Sam pochylał się, aby dotknąć ich puchu jedwabistego. Pałace usta przycisnął do jej ust. Czuł że on oddziaływał na dzieuczynę silnie. W jego ramionach prawił zdrętwiała, pierś rozdzierała uczucia dotąd nieznaną. Czuła, że słabnie i omdlewa w jego uścisku. Dreszcze niepokojące wstrząsały nią gwałtownie. „Kocham cię zawsze, pragnę cię! Jestem twoja... twoja... bierz mnie!”.

Spojrzała na niego. Szare oczy gorzały mu ciemnym ogniem, wydawały się prawie czarne. Brwi zbiegły się na czoło. W całym twarzą Waldemara, w drżeniu ust, w nerwowym poruszeniu się nozdrzu przebiegała



Fot. W. Stępień

utwela namiętność i gwałtowność... Szarpnęła się mocno.

On ją przycisnął ku sobie, rekami ścisnął kurczowo. Ona czuła, że słabnie. Zbyt potężne siły złożyły się na odurzenie jej podnieconych zmysłów. On ją pożerał oczyma, przyciskał ku sobie i szeptał: „Nie wyrzuć się naprzeczo. Jesteś w mej mocy. Kocham sercem, duszą, krwią — wszystkim, czym mężczyzna może kochać kobietę”.

Ona kochała go aż do utraty zmysłów. On kochał ją bez pamięci. Ona czuła, że omdlewa w jego uścisku. Kochasz mnie zawsze? „Kochasz mnie? — spytała. — Kocham, jedyna... Wiedzęj niż własne życie. — Kochasz mnie? Hędzisz ze mną szczęśliwy? Waldy!... mój... tyś dobry — szepnęła”.

IV. OFICJALNE STANOWISKO KRYTYKI WYBITNYCH LITERATÓW

Podług fachowej opinii literatki Teresy Walas *) ta powieść Mniszkówny jako demon zmiry jest tworem kalekim, grzeszy banałem i ubóstwem myśli. Jest to długi szereg nudnych obrazów, typowy pląd grafomanii kobiecej, odznaczający się brakiem oryginalności.

Stynny pisarz M. Wańkowicz *) w swej „Krafcie La Fontaine'a” pisze: „Trędowata” jest kiczem odznaczającym się naturnością, płytkością i kiepskim stylem. To rokokowa ohyda skrzyżowana z szerszą oraz istną obundancją nonsensów. Treścią tej powieści jest miłość 37-letniego arystokratycznego dożnana Waldemara Michorowskiego, który nadejforował na mendie wielkie ilości

księżniczki krwi po dworach królewskich. Obiektem miłości jest 19-letnia nauczycielka domowa, szlachcianka Stefka Rudecka z posiadaniem 20 000 rubli carskich (= 10 000 amerykańskich dolarów) odzyskującą miłość Waldemara”.

Znany poeta Witold Zechenter *) z ironią pisze na temat Mniszkówny, że ona wydała powieść: „Trędowata”, „Ordynas Michorowski” i 125 innych poczytnych utworów ośmianych na dziejach zranionego serca i innych części ciała”. Witold Filler *) pisze o młodych literatach „zatrućnym jadem koszmarnego melodramatu pani Mniszek”.

V. WNIOSKI

Pomimo tak ujemnej krytyki naszych wybitnych poeci i literatów aktualność tematu Mniszkówny się nie starzeje, jakkolwiek ordynatów dziś już nie ma, zaś od pana Fillaera *) dowiedzieliśmy się, że obecnie stynny reżyser Jerzy Hoffman ekranizuje „Trędowatą” i jeszcze w tym roku będzie ten film wyświetlany u nas. Jako dowód atrakcyjności tematu poruszonego przez Mniszkówną widzieliśmy ostatnio niezwykle powadzone amerykańskiego filmu „Love story” przedstawiającego odzyskaniem miłości skromnej nauczycielki muzyki oraz syna dolarowego multimilionera z podobnym tragicznym zakończeniem.

Jezeli do kłejnotów literatury są zaliczane i jako lektura szkolna są traktowane takie książki jak „Illiada” Homera albo „Pamiętniki o wojnie galijskiej” Cezara, gdzie ludzie napadają na ludzi i wzajemnie się mordują, to czyż nie jest atrakcyjniejszą nieśmiertelna tematyka miłości? Poematy Homera i wojenne pamiętniki Cezara mało kto czyta, natomiast „Trędowata” Mniszkówny jeszcze dziś jest pięknie poszukiwana na rynku księgarskim i wciąż na nowo tłumaczona.

Pouczające w tym utworze Mniszkówny poglądy na miłość wydają się być szczególnie pociągające dla osób samotnych, zarówno młodych jak i starszych obojga pici, które tęsknią do miłości odzyskującej, uważając ją za jedną z postaci szczęścia.

Natomiast zgodzić się można z tym, że miłosna tematyka „Trędowatej” jest nieatrakcyjna dla takich ludzi samotnych. rzy stale na co dzień przeżywają miłość małżeńską i rodzinną, nieraz kosztowną, i małżonkowie mają tej miłości po same uszy i dlatego oni mogą być tego samego zdania, co wyżej przytoczeni pisarze i literaci. Ale my, młodzi samotnicy zachowujemy się pooglądami Mniszkówny i jej realistycznie fachowymi opisami, których wcale nie uważamy za abudancję nonsensów.

KRAKÓW, DNIA 28 SIERPNIA 1976 R.

- 1) Mniszek Helena, Trędowata, Kraków 1972
- 2) Walas Teresa, Posłowie (Aneks do „Trędowatej”) Kraków 1972.
- 3) Wańkowicz Melchior, Krafcia La Fontaine'a Kraków 1972.
- 4) Zechenter Witold, Grymasy z komentarzem, Kraków 1973.
- 5) Filler Witold, Profesor Lorentz kontra „Trędowata”, tygodnik „Perspektywy” nr 25(253) z dn. 18.6.1976 r.

bez tybubw

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

P. Danuta Sanecka z Krańnika po raz drugi — jak pisze — „próbuję szczęścia” i nadsyła kolejny odcinek powieści. „Wydaje mi się — stwierdza w liście — że już czas, aby Elżbieta zaczęła w końcu analizować swoje młodzieżowe życie. Czas też, aby Elżbieta poznała siłę prawdziwego uczucia, aby sama narezcie pokochała tą „wielką panią Miłością” i tutaj jedynym wyjściem jest ten „trzeci”, bo Zygmunt i Ryszard są za słabi...”

Hmm... Po drobnych przeróbkach prezentujemy tekst p. Saneckiej. Na następny odcinek czekamy do 24 września. (Red.)

„przywracała się do porządku”. Sprawno to, iż teraz dopiero rozumiała i doceniła tę mądrość. Gdyby krzyżeli czy gderali efekt na pewno byłby odwrotny. Poczuła się naprawdę winna i było jej z tym jakoś lepiej, rozumiała, że jest rozumiana i kochana, że tutaj, w domu, nie trzeba słów do porozumienia, że wystarczy czasem milczeć aby porozumienie było pełne...

Przygotowywała się, aby do spóźnionego śniadania usiąść otrząśnięta z wczorajszych oparów alkoholu, gdy do jej pokoju cichutko usunął się ojciec. Był smiesznie poważny, kiedy wręczał jej białą tabletkę: „Masz, zjedz to szybko, ja nie lekarz, ale mnie aspiryna zawsze pomaga... Tylko nie mów nic mamie!” Widziała, jak walczył ze sobą, aby jej nie przytulił i usiłował być obojętnym i surowym rodzicielem. Sama go uściskała, zażyła proszek, a kiedy wyszedł, zrobiła jej się jeszcze bardziej przykro. „Oni tacy dobrzy, a ja?... Co ja wstać z sobą robię? Casy czas poszukuję wielkiej miłości?... Jestem młoda, niebrzydka, mam chyba prawo...?” — myślała. „To wszystko, co mi się zdarzyło... Zygmunt... Ten chórzy Rysiek... Nie, to nie miało przecież nic wspólnego z miłością, pozostałam oszukana w tej grze z naturą...!” — coś krzyknęła w niej nagle, była bliska płaczu. Zjadła niewiele i wyszła na balkon, ułożyła się wygodnie na leżaku i zaparzyła się w horyzont. Góry stały nieruchome i jak ona leniwie wygrzewały swoją wielką urodę w ciepłej, złotej kąpieli słonecznej. Myślała o Andrzejku... Była jej głupio, choć nie spodziewała się tego. Chocierż głupio. Czwała, że nie potrafi sobie wybaczyć swojego wczorajszego zachowania. To nie było tak, jakby tego chciała. Zachowała się jak mała gaska, a on... artysta mądry człowiek — tego była absolutnie pewna, chociaż nie wiedziała w zasadzie dlaczego.

„Boże, co on sobie o mnie pomyśli, dlaczego byłam tak tragicznie przeciętna...! To chyba wszystko przez tę babę... O czym było przy niej mówić?... Płam...” — dręczyła się, dopóki nie zasnęła nie wiadomo kiedy.

Kiedy się obudziła, zobaczyła, że leży w cieniu, znać było to, że południe już dawno minęło i słońce przesunęło się na zachodnią część domu. W głowie nie było już „tupułu moralik plan”, czuła się dużo lepiej niż rankiem. „Przespalam cały dzień — pomyślała ze smutkiem. — Andrzej... znowu on mi stoi przed oczyma. Nie, nie pójdę do „Krafiolaka” — zdecydowała nagle stanowczo. Pomyślała, że narobiła już dość głupstw w swoim młodym życiu, a on pewnie tylko z kurtuzji wyznaczył to dzisiejsze popołudniowe spotkanie. Bala się, że on może nie przyjść... Nie mogłaby tego spokojnie znieść... Andrzej jej się podobał. Podobal jej się tak bardzo, że aż była tym przerażona teraz, kiedy jasno zdała sobie z tego sprawę. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale bardzo jej zależało, aby głównie przed nim usprawiedliwić jakos swoją wczorajszą „płytkość” i dlatego zawyrokowała, że nie pójdzie jednak do „Krafiolaka”. Była zrezygnowana, nie umiała mimo wszystko uporać się z tym nowym, nieznanym dotąd „kacem duchowym”.

Usłyszała wotanie matki i niechętnie poszła do kuchni. „Elu, już piąta, stada, obiad stygnie...” Elżbieta zauważyła długą niebieską kopertę zaadresowaną do niej. Poznała charakter pisma, pieczęć pocztową z Lublina. „Zygmunt...! jak mnie znalazł!” — Elżbieta chciała otworzyć kopertę, kiedy rozległ się silny dzwonek u drzwi. „Idź otwórz, to pewnie ojciec” — powiadzała matka. Elżbieta, jak automat, wyszła do przedpokoju, przekreśliła gatkę zamka.

— Dzień dobry! Jak się czujesz? Właśnie przechodziłem tędy pomyślałem sobie... — w drzwiach stał Andrzej. Nie wierzyła własnym oczom, chociaż nie było w tym przecież nic nadzwyczajnego. Czwała, jak serce skoczyło jej nagle do krani, z trudem usiłowała opanować jakąś dziwną radość i ledwie słyszalnie wyjąkała: — Wejź, wejź proszę!